Cena 1 zł 20 gr

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

W NUMERZE m. in.:
W. KĘTRZYŃSKI — O Człowieku miłowanym w Bogu
Z. LICHNIAK — Przed nowymi zadaniami
W. PIEŃKOWSKA — O uśmiech dzieciństwa
T. NUCKOWSKI — O symfoniach anielskich
J. ŻUROWSKA — Paryż ma 2000 lat
Z. BEDNORZ — Legion Mickiewicza nad Odrą i Wartą

Rok VII — Warszawa, 23-30 grudnia 1951 r. — Nr 51-52 (317-318)

Biblioteka Uniwersytetu Gdańskiego

OLŚNIENI PRAWDĄ...

JEDNYM z najbardziej urzekających, chociaż równie niebezpiecznych paradoksów katolicyzmu jest powszechność niezwykłości, łatwość obcowania z najgłębszymi tajemnicami nadnatury. Uczestnicząc w ofierze Mszy Świętej, stoimy spokojni i codzienni wobec ogromnej tajemnicy Przeistoczenia. Przyjmując Komunię Świętą, łączymy się w przedziwny sposób z samym Bogiem, sam Bóg wstępuje w naszą zwykłość i powszedność. Kłoniąc głowy przed wzniesioną dłońmi księdza monstrancją, możemy pokornym wzrokiem uchwycić obraz bielejącego za szkłem opłatka, będącego materialną postacią Tego, który stoi ponad materią, chociaż stworzył materię i kieruje nią wszechwładnie. Niezwykłość, boskość, nadnatura objawia się nam przez wszystkie dni roku. Każdej godziny możemy wyciągnąć dłoń i dłoń ta, wsparta Łaską, dotknie najgłębszej tajemnicy, poczuje kształt najwyższej prawdy.

Ta powszechność, ta — chciałoby się powiedzieć — zwykłość niezwykłości urzeka i przeraża. Wielu stanęło przed progiem Kościoła i zrezygnowało z wejścia w Jego mury tylko dlatego, że przeraziła ich wielkość ukrytej w Nim tajemnicy. Nie śmiejąc przyjąć tej wielkości na swoje barki, nie ufając wsparciu Łaski — udali, że ją lekceważą, że im nie wystarcza, że się w niej nie mieszczą. Uszanujmy ich lęk przed wielkością. Wielu próbowało ten lęk zagłuszyć w sobie krzykiem o potędze człowieka. Wielu usiłowało w siebie i w innych wmawiać, że człowek wtedy wypowiada słowo „Bóg", gdy przestaje coś rozumieć. Wiemy, że kiedyś zrozumieją, iż człowiek wypowiada słowo „Bóg" wtedy, gdy zaczyna coś naprawdę rozumieć. Wtedy także zdaje sobie sprawę, że zwykłością w jego życiu ma się stać niezwykłość obcowania z Bogiem.

Jednak tym, którzy odważyli się na niezwykłość swoich dni powszednich, którzy weszli w mury Kościoła, by oswajać swój wzrok z tajemnicą ostatecznych przeznaczeń człowieka, ciągle przypominać trzeba niebezpieczeństwo, czyhające na nich w ich własnej naturze, niebezpieczeństwo sprowadzania Boga do wymiarów własnej małości, niebezpieczeństwo pomniejszania Prawdy, przyzwyczajania się do jej blasku. Olśnieni Prawdą możemy przy pomocy Bożej spełnić swoje przeznaczenie, ale zagubimy je, jeśli blask Prawdy weźmiemy za zwykłe światło dzienne, jeśli Prawda w nas spowszednieje i uczłowieczy się w granicach naszej ludzkiej przeciętności, naszej ludzkiej skłonności do poprzestawania na własnych wymiarach, na własnym człowieczeństwie.

Każde wielkie święto kościelne, a zwłaszcza święto Bożego Narodzenia jest — jeśli przeżywamy je w najgłębszym rozumieniu jego sensu — przekraczaniem własnego człowieczeństwa, jest przypomnieniem, że Prawda nie tylko świeci, lecz przede wszyskim olśniewa, że obcowanie z tajemnicą nigdy nie powinno wobec niej spoufalać, lecz pogłębiać.

Jakiż bowiem jest sens rocznicy betlejemskiej? Przypomina nam ona niezwykłość wydarzenia sprzed prawie dwóch tysięcy lat, które powinno być w nas tak samo żywe, jak prawie dwa tysiące lat temu. Bóg stał się człowiekiem, by — pogłębiwszy swoją boskość o wszystkie cierpienia ludzkie — stać się pełnią zbawienia.

Ku uczczeniu pamięci rocznicy betlejemskiej przystrajamy nasze domy, przerywamy naszą pracę, wszyscy śpieszą wcześniej do domów. W domach biały obrus na stole, lepsza zastawa, lepsza wieczerza, zmieniony porządek dnia, nocą — pasterka, rankiem — obfitsze śniadanie, przez dwie doby — odmienny nastrój. Zachowujemy prawie wszystkie formy wielkiego święta, respektujemy prawie wszystkie jego symbole, stoimy na straży odświętności zewnętrznej. A wewnętrzna prawda rocznicy? A jej zasadniczy sens? Maleje, zanika, powszednieje, uczłowiecza się — w ujemnym tego słowa znaczeniu.

Wielkim postulatem rocznicy betlejemskiej jest wezwanie, byśmy dorastali do jej boskiego sensu. Jej boski sens — objawiony narodzinami, życiem śmiercią i zmartwychwstaniem Chrystusa oraz świadectwem Jego apostołów — polega na zbogaceniu ludzkości o radość odkupienia. Tę radość przede wszystkim zawiera w sobie historia niezwykłej nocy w małej mieścinie judzkiej. Ale radość to szczególna. Jak w każdej prawdzie Kościoła zamyka się w niej całość przeznaczeń ludzkich. Bo przeżywając radość narodzin Pana, nie możemy jej oddzielić od świadomości celu, ciesząc się wydarzeniem betlejemskim, nie możemy zapomnieć, że stało się ono po to, aby stać się mogła tragedia na Wzgórzu Trupiej Czaszki. Nie wolno nam nie pamiętać, że sprawa Golgoty już potencjalnie zawarta była w sprawie Betlejem. Tak samo nie wolno nam zapominać, że w sprawie Golgoty zawarta była już od początku sprawa odwalonego później w trzy dni kamienia przy grobie, który ukryć chciał Prawdę.

Ciesząc się z narodzin Pana, cieszymy się z przebiegu wszystkich wydarzeń, które te narodziny poczęły. W radości naszej musi być i zrozumienie życia Chrystusa, i zrozumienie Jego śmierci, i zrozumienie Jego Zmartwychwstania dla Wniebowstąpienia. Dopiero wtedy nasza radość jest pełna i dopiero wtedy ogarniamy sens jej specjalnego uświęcenia w naszym kalendarzu, gdy odsłoni nam ona swoją ostateczną, oczom ludzkim dostępną głębię, na dnie której leży prawdziwa wielkość naszych zobowiązań.

Katolicyzm jest sumą najpiękniejszych przywilejów, udzielonych człowiekowi przez Stwórcę i największych zobowiązań, nałożonych przez Stwórcę na człowieka. Ten, kto — olśniony Prawdą — odważył się podjąć ciężar niezwykłości tej Prawdy, otwiera przed sobą niezmierzone i nieprzeczuwane dawniej perpektywy, podnosi życie swoje na nieprzeczutą nawet w najśmielszych snach wyżynę. Jednocześnie wszakże nakłada na siebie obowiązek najsurowszej wierności przyjętej Prawdzie, obowiązek najwierniejszej służby wobec ideałów bliskich tej Prawdy. Ta wewnętrzna dialektyka przywileju i zobowiązania wyzwala w człowieku jego najwartościowsze siły, jego dążenie i zdolność do przerastania samego siebie.

W naszej epoce szczególnie ważne i konieczne jest rozumienie katolicyzmu przede wszystkim jako sumy zobowiązań. Dlatego też szczególnie mocno dzisiaj podkreślać należy sens świąt Bożego Narodzenia, polegający na ukazywaniu radości z rocznicy betlejemskiej jako radości zobowiązującej, jako radości zamykającej w sobie całą wiedzę o naszym przeznaczeniu i całą prawdę o mądrości dobroci Bożej. Dopiero tak przeżyte święta, dopiero tak zrozumiana ich rola w naszym życiu codziennym przywróci czerwonym kartkom z kalendarza ich istotny sens, a naszej wesołości i odświętności jej najgłębszą treść.

O tym wszyscy wiedzą. To łatwo wydedukować z każdej kartki Ewangelii opowiadającej o przygodach Małej Dzieciny, czy później o pracy Chłopca, lub nauce i cierpieniu Dojrzałego Męża. Ta nasza wiedza zwietrzała jednak w nas i skruszała. Spowszedniał w nas oślepiający blask Prawdy. Uczłowieczyliśmy Boga w sobie aż do granic naszej małości. Wzruszeniom wtórnym daliśmy siebie, dla Prawdy zostawiając formalistykę kalendarza i zewnętrzne symbole. Białym obrusem chcemy zakryć wielkość zobowiązań, choinkową świeczką chcemy przyćmić oślepiającą kaskadę Tamtego Światła, wigilijnym opłatkiem chcemy się łamać zamiast Tamtym Chlebem, sentymentalne kolendy chcemy nucić zamiast wiecznej pochwały Pana.

Wolno nam mieszkania w dzień świąt Bożego Narodzenia przybierać odświętnie. Wolno nam cieszyć się białym obrusem, i sutą wieczerzą, i rozjarzonym drzewkiem, i kolędową nutą. Ale nie wolno nam poprzestać na tych symbolach, nie wolno nam się zamknąć w odświętności zewnętrznej, nie wolno nam niezwykłości katolicyzmu zamieniać na powszechność i naskórkowość letnich wzruszeń. Musimy w cudownym misterium Narodzin Boga-Człowieka odnaleźć wielką prawdę naszych przerażających radośnie przywilejów i zobowiązań. Przede wszystkim — zobowiązań. Musimy w każdym roku, w tym zaś roku szczególnie mocno, przeżywać rocznicę betlejemską jako przypomnienie oszałamiającej Radosnej Nowiny. O powtórne olśnienie Prawdą błagajmy Pana i kuśmy się o nie sami, bo tylko olśnieni Prawdą ujrzą drogę, wiodącą ku niskiemu progowi szopy betlejemskiej, który jest jednocześnie progiem zbawienia.

Narodziny Dzieciątka — Bernard van Orlen (1491—1542).

PO ZJEŹDZIE WE WROCŁAWIU

ODBYTA w ubiegłym tygodniu we Wrocławiu patriotyczna manifestacja polskiego świata katolickiego jest wydarzeniem, które nie może przebrzmieć bez echa, nie pozostawiając trwałych rezultatów. Dlatego do szczegółowych sprawozdań prasowych przytaczających w całości ważniejsze wypowiedzi, trzeba dołączyć komentarz i pokusić się o podsumowanie tych bogatych w głębokie słowa obrad. Trzeba także już dziś spróbować ocenić jakie wyniki przyniesie w przyszłości ta imponująca manifestacja, wyrażająca dobitnie protest katolików polskich przeciwko rewizjonizmowi i remilitaryzacji Niemiec Zachodnich.

Istotne znaczenie manifestacji wrocławskiej nie tkwi w ogromnych rozmiarach zjazdu ani nawet w fakcie, że skupił on najwybitniejszych przedstawicieli nauki i twórczej inteligencji wszystkich środowisk katolickich. Te okoliczności wpłynęły, rzecz jasna, skutecznie na podkreślenie znaczenia i zasięgu tego wydarzenia. Najbardziej doniosłe jest jednak w tym fakcie przerwanie istniejącej w niektórych środowiskach katolickich kilkuletniej tradycji bierności w sprawach dotyczących najżywotniejszych interesów narodu. Jakkolwiek bierność ta jest częściowo spowodowana istniejącym układem sił społecznych w kraju, musi ona budzić najwyższy niepokój wówczas, gdy paraliżuje bezsporne przejawy woli narodu, które muszą stać się udziałem wszystkich jego świadomych członków.

Obrady wrocławskiej są spokojną i poważną, ale równocześnie stanowczą odpowiedzią na wrzawę podnoszoną ustawicznie przez niemieckich rewizjonistów, między innymi także ze środowisk katolickich. Nie można wątpić, że echa ich dotrą do wszystkich zakątków świata dowodząc wymownie, że obecne nasze granice nie są tylko przypadkowym wynikiem krzyżujących się ponad nami sił, ale, dzięki woli i wysiłkom całego narodu weszły do historii jako bezsporny i nieodwracalny fakt psychologiczny i socjologiczny.

Znaczenie międzynarodowe manifestacji wrocławskiej byłoby, rzecz jasna, niepełne gdyby nie towarzyszyła jej w wewnętrznym życiu kraju perspektywa poruszenia świadomości szerokich rzesz katolików polskich w tej tak zasadniczej sprawie. Oczywiście, nie zachodzi potrzeba przekonywania nikogo z Polaków, godnych tego miana, o słuszności naszej granicy zachodniej i o korzyściach jakie z obecnego jej układu płyną. Mimo to nie brak niestety Polaków, którzy bardzo łatwo godzą się z myślą, że wola narodu i aktywna jego postawa nie ma wpływu na trwałe utrzymanie i wzmocnienie całości Ojczyzny. Trudno w dość dobitnych słowach przedstawić niebezpieczeństwo, jakie zawiera się w tego rodzaju nihilistycznej postawie. Żaden naród nie może wyrzec się prawa do twórczego oddziaływania na swój własny los, prawa, które w dostępnych rozmiarach musi być reanalizowane ustawicznie. Gdyby się tego wyrzekł przestałby być sobą a stałby się sumą historycznie biernych jednostek, nie związaną wewnętrznie grupą ludności, podlegającym wyłącznie prawom statystyki a nie socjologii.

Zjazd wrocławski zaprotestował równie stanowczo przeciwko tej samobójczej postawie bierności, jak przeciwko zachodnim groźbom rewizjonizmu i remilitaryzmu.

Zarówno znakomity referat Ks. Prof. d-ra E. Dąbrowskiego, jak i liczne wypowiedzi w dyskusji, wyczerpująco i sugestywnie przedstawiły zebranym grozę odradzającej się siły militarnej w Niemczech, odwołując się do niedawnych wspomnień z ostatniej wojny. Ale tak referent jak i dyskutanci nie ograniczyli się do narzekania i odmalowania niebezpieczeństw. Problem współżycia z Niemcami nie może być rozwiązany przez nieufność i izolację. Dla każdego kto rozważa ten problem w perspektywie dłuższego okresu czasu musi być jasne, że konieczne jest szukanie płaszczyzny porozumienia i współżycia. Obrady wrocławskie stanęły właśnie na tej płaszczyźnie. I to nie tylko w słownych deklaracjach. Pełnym wymowy był fakt udziału w obradach przedstawicieli Unii Chrześcijańsko Demokratycznej Niemieckiej Republiki Demokratycznej, którzy stanowczo stanęli na gruncie przyjaźni z Polską w oparciu o granicę na Odrze i Nysie. Rozbrzmiewający we Wrocławiu pełen szczerości i odwagi głos chrześcijan niemieckich, nawet przez najbardziej nieufnych ludzi, musi być uważany za doniosłe wydarzenie. Dla katolików polskich ma to szczególne znaczenie. Pozwala bowiem na stopniowe rozładowanie tego nagromadzenia wrogości, które mogło by bardzo szkodliwie zaciążyć na przyszłości obu narodów.

Poruszając problem niemiecki często słyszy się uporczywą odpowiedź: „Ja tam żadnemu Niemcowi nie wierzę". Jest przy tym znamienne, że ta nieufność wobec tych Niemców, którzy wyciągają do nas dłoń do pojednania łączy się często z obojętnością i milczeniem wobec tych, którzy jawnie szykują się do odwetu. Zarówno nieufność jak i obojętność podyktowana jest tym samym pragnieniem odizolowania się i zapomnienia, pragnieniem ludzi pozbawionych jakiegokolwiek zmysłu politycznego i poczucia odpowiedzialności za przyszłość.

Dlaczego bowiem z góry mamy nie wierzyć chrześcijanom niemieckim, którzy odważnie, wbrew łatwym, demagogicznym zarzutom swych szowinistycznych współziomków podkreślają trwałość i nieodwołalność naszej wspólnej granicy oraz deklarują chęć ułożenia przyjaznych sąsiedzkich stosunków? Cóż innego dyktować może ich szczere, pełne chrześcijańskiego ducha słowa, jeśli nie pragnienie ułożenia na innych niż dotychczas podstawach współżycia między narodami?

Uczestnicy obrad wrocławskich, zwłaszcza zaś ci spośród nich, którzy mieli możność osobiście zetknąć się z gośćmi niemieckimi, na pewno nie mają wątpliwości co do ich szczerych intencji jak również co do doniosłości faktu, że po tylu wiekach śmiertelnych zmagań spotykamy Niemców przemawiających do nas przyjaznym językiem.

Również i cały zjazd, będący par excellence narodową i patriotyczną manifestacją, charakteryzowała atmosfera odległa od jakiegokolwiek partykularyzmu czy szowinizmu narodowego. Był on wyrazem tego chrześcijańskiego partiotyzmu, który nie wspiera się na niechęci do obcych, ale na poczuciu odpowiedzialności za los własnej Ojczyzny, w łączności z innymi narodami.

Mówiąc o znaczeniu ogólnopolskiej manifestacji duchowieństwa i działaczy katolickich we Wrocławiu, niepodobna wreszcie pominąć milczeniem najdonioślejszego problemu. Jako masowa manifestacja patriotycznych uczuć polskiego świata katolickiego w sprawie jednoczącej wszystkich bez wyjątku Polaków, jest zjazd wrocławski nowym potężnym wkładem w realizowanie dzieła Porozumienia, wkładem umacniającym i potwierdzającym słuszne założenia tego aktu.

Dzięki temu, wypełniając obowiązki obywatelskie i narodowe, równocześnie zamanifestowano wolę służenia Kościołowi. I to służenia nie tylko Kościołowi w Polsce. Jeśli bowiem padły tam gorzkie słowa pod adresem części duchowieństwa niemieckiego i niektórych dostojników Kościoła w Niemczech, to kierowała nimi troska o Kościół w Niemczech, stojący przed niebezpieczeństwami, które właśnie my Polacy dostrzegamy z największą ostrością.

Pozory sprzeczności pomiędzy obowiązkami względem Kościoła i względem Ojczyzny nie po raz pierwszy trapią sumienia ludzi.

Blisko sto lat temu Lacordaire pisał:

„Będą wam mówić, że ukochanie Kościoła nie jest do pogodzenia z miłością Ojczyzny, że prędzej czy później będzie trzeba wybierać jedno lub drugie i, że tylko stając się wyrodnym synem Ojczyzny można pozostać wiernym członkiem Kościoła.

Zależy mi na tym, aby nie postawić cię przed tym dylematem dlatego bo miłość Ojczyzny obok miłości Kościoła jest najświętszym uczuciem serca ludzkiego i dlatego, gdyby jedna była wrogiem drugiej, byłoby to najgorszym rozdarciem jakie Opatrzność mogłaby nam zgotować. Ale wcale tak nie jest. Ojczyzna jest naszym Kościołem doczesnym, tak jak Kościół jest naszą Ojczyzną w wieczności. I choć Kościół ma szerszy zasięg niż Ojczyzna, to samo mają centrum, którym jest Bóg i ten sam przedmiot zabiegów, którym jest prawiedliwość; ten sam azyl, którym jest sumienie; tych samych obywateli, którymi są ciała i dusze ich dzieci".

Rychłe odrodzenie katolicyzmu francuskiego potwierdziło słuszność optymizmu Lacordaire'a.

To samo głębokie przekonanie wyraża się w postawie wszystkich uczestników zjazdu wrocławskiego, którą tak dobitnie wyraziło twierdzenie, że katolik dlatego właśnie, że jest katolikiem, musi pozostać wierny swojej Ojczyźnie.

A. K.

Oświadczenie

Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej NRD przekazane Ogólnopolskiej Manifestacji Duchowieństwa i Działaczy Katolickich

Z TYGODNIA na tydzień coraz wyraźniej przybiera na sile militarna, polityczna i duchowa remilitaryzacja na Zachodzie naszej Ojczyzny prowadzona przez obce mocarstwa imperialistyczne i popierana przez „niemieckich" pośredników. Dr Konrad Adenauer, uosobiony wróg jedności Niemiec z zasady, czuje się powołany do proklamowania „świadomości europejskiej misji Niemiec" i przygotowuje się do wypełnienia testamentu Hitlera „o przewodzeniu Europie".

Jego kolega rządowy Seebohm, zachodnio-niemiecki minister Komunikacji, rości sobie pretensje do rozszerzenia obszaru życiowego Niemiec poza granice z roku 1937. Rząd Zachodnio-niemiecki i jego najwierniejsza opozycja jawnie sprzyjają faszystowskim i wojskowym organizacjom i chcą wskrzesić i pobudzić do życia bandyckiego ducha z brunatnej ery.

Te fakty są pierwszymi wskazówkami dla każdego, kto przykłada największą wagę do sprawy pokoju i porozumienia się między narodami.

Chrześcijańsko Demokratyczna Unia Niemiec zajęła decydujące stanowisko wobec sprawy przyjaźni między narodami w pełnym znaczenia postanowieniu swego Komitetu Politycznego z dnia 28 stycznia 1950 roku.

„Działalność demokratyczna wymaga:

jasnego odcięcia się od tych, którzy przede wszystkim w Niemczech Zachodnich popierają sprawę podziału Niemiec i przygotowań do napadu na Wschód,

kategorycznego sprzeciwu wobec kanclerza Adenauera i wszystkich, którzy chcą włączyć Niemcy do Zachodniego bloku agresywnego,

jasnego uznania granicy na Odrze i Nysie jako granicy pokoju, zgodnie z oświadczeniami Rządu NRD i jej ministra Spraw Zagranicznych, według których sprawa granicy jest ostatecznie i nieodwołalnie wyjaśniona —

jasnego sprzeciwu wobec wszystkich tendencji odradzania się nacjonalizmu i remilitaryzacji".

Powaga chwili zmusza do zastanowienia się nad faktami historycznymi. W Jałcie i Poczdamie mężowie stanu państw sprzymierzonych dali jednogłośnie wyraz swej woli wyrównania krzywd historycznych i przesunięcia zachodniej granicy Polski Ludowej do linii Odra — Nysa.

W następstwie tego międzynarodowego postanowienia przesiedlono niemiecką ludność z zachodnich terenów Polski na tereny dzisiejszej NRD i dzisiejszych Niemiec Zachodnich. W N. R. D. przesiedleńcy stali się pełnoprawnymi obywatelami włączonymi w życie publiczne i gospodarcze. Inaczej jest w Niemczech Zachodnich. Tam przesiedleńcy zgodnie z wolą podżegaczy wojennych są przewidziani jako mięso armatnie do tak zwanej „obrony" i ostatecznej decydującej bitwy nad Wisłą, postulowanej przez Schumachera.

Jednakże naród niemiecki jest zdecydowany nie dopuścić do rozpętania w swym kraju wojny amerykańskiej.

Dwie wojny światowe otworzyły mu oczy na bezsensowność imperialistycznych wypraw rabunkowych. Wspólnie z Polską Ludową i innymi miłującymi pokój siłami na świecie, stoi N. R. D. niezłomnie w Obozie Światowego Pokoju.

Polska Ludowa i NRD urzeczywistniły wolę swych narodów i nawiązały wzajemne przyjazne stosunki między narodem z tej i tamtej strony granicy pokoju. Polska Ludowa i N. R. D. dążą wspólnie do utrzymania pokoju i planowego rozwoju gospodarczego. W ścisłej współpracy Polska i N. R. D. mają wspólnego sojusznika, wielki socjalistyczny Związek Radziecki.

Im bardziej zaciekle nawołuje obóz wojny do wyprawy krzyżowej przeciw Wschodowi, tym mocniejsza będzie wola narodów zgnębienia podżegaczy wojennych żelazną wolą i niezmordowanymi wysiłkami, by wojny wykreślić z dziejów ludzkości. Chrześcijanie Polski i Niemiec wystąpią we wspólnej pokojowej pracy przeciw rewizjonizmowi, aby zapanował pokój na ziemi. Do tego zobowiązuje nas nasz wspólny chrześcijański światopogląd.

Wyrażamy braterskie pozdrowienia Manifestacji Polskich Katolików przeciw rewizjonizmowi i remilitaryzacji w Niemczech Zachodnich. Zjednoczeni we wspólnej walce doprowadzimy do zapewnienia pokoju w Europie.

Berlin, dnia 10 grudnia 1951 r.

Komitet Polityczny
Chrześcijańsko Demokratycznej Unii
Niemiec

Zastępca przewodniczącego
Minister Dertinger

REZOLUCJA

WE WROCŁAWIU, polskiej stolicy biskupiej, założonej w r. 1000, zebraliśmy się księża, naukowcy i działacze katoliccy, powodowani głębokim przywiązaniem do Ojczyzny naszej, do Zachodnich Ziem Polski. Wróciły do nas te prastare ziemie polskie wydarte nam przed wiekami przez zaborczość niemiecką. Uważamy powrót tych ziem, który nastąpił w wyniku ostatniej wojny, za akt sprawiedliwości dziejowej. Nieuchronne konsekwencje tego aktu dla narodu niemieckiego, jak fakt koniecznej repatriacji napływowej ludności niemieckiej na zachód, jest skutkiem polityki zaborczej zarówno jej przodków, jak i tych, którzy politykę tę próbowali kontynuować w wojnie ostatniej w sposób najbardziej nieludzki i okrutny.

Lecz oto dziś znowu są organizowane próby wywołania nowej wojny, próby zagrożenia pokoju. Jako katolicy widzimy tragedię moralną narodu niemieckiego w okoliczności, że to właśnie remilitaryzacja Niemiec Zachodnich i tendencje rewizjonistyczne Niemiec Zachodnich są najpoważniejszym objawem napięcia sytuacji międzynarodowej. Pod egidą i protektoratem amerykańskich władz okupacyjnych w Niemczech Zachodnich odradza się widmo hitleryzmu, rzuca się tam hasła odwetowe, snuje prowokacyjne plany marszu na Wrocław i Szczecin, Łódź i Poznań. Jako katolicy jesteśmy pełni oburzenia, że podstawa polityczna, na której opiera się szowinistyczny i wojenny rząd w Bonn, składa się ze stronnictwa chrześcijańsko-demokratycznego. Jako katolicy jesteśmy pełni bólu, że przywódcy tego stronnictwa znajdują często zachętę do swej remilitaryzacyjnej i rewizjonistycznej polityki w wystąpieniach katolickiego duchowieństwa niemieckiego, a nawet jego dostojników. Wydaje się, że zarówno lekcja historii jak i moralna strona zbrodni hitlerowskich została w wielu środowiskach zupełnie zapomniana. Trzeba przypomnieć, że nie tylko ci katolicy niemieccy, którzy współdziałali, ale i ci, którzy milczeli, dzielą odpowiedzialność za niesłychane w dziejach okrucieństwa, obozy śmierci, masowe egzekucje, dokonane w ostatniej wojnie przez hitlerowców na narodzie polskim.

Boleścią specjalną przejmuje nasze serca fakt, że wśród emigracji polskiej znajdują się politycy mieniący się Polakami, którzy nie tylko nie znajdują w sobie potępienia dla tych niecnych knowań, lecz gotowi są przyłożyć rękę do dzieła ponownego uzbrojenia hitlerowskich hord i rozpętania wojny przeciw własnemu krajowi.

Zjechaliśmy się do Wrocławia, by z całym narodem stwierdzić, że nasze Ziemie Zachodnie są nienaruszalną częścią naszej Ojczyzny, którą kochamy i której będziemy bronić, gdy zajdzie potrzeba. Tak samo, opierając się na tradycji katolickiej polskiej, datującej się od początków katolicyzmu na naszej ziemi w wieku X i XI, bronić będziemy zasady, że w diecezjach zachodnich sprawować rządy może tylko regularna władza ordynariuszy polskich. Sprawy zaś te są tym ważniejsze, że granica Ziem Zachodnich, granica na Odrze i Nysie, jest granicą pokoju światowego, że ataki na tę granicę są próbą zamachu na pokój i nawoływaniem do nowej wojny. Z radością powitaliśmy fakt, że NRD uroczyście uznała naszą granicę zachodnią, czego wymownym dowodem jest obecność na tej sali przedstawicieli katolików Niemiec Wschodnich. Jest to najlepszy dowód odmienności orientacji politycznej wschodnich i zachodnich Niemiec w stosunku do spraw polskich.

Ze względów wyżej wymienionych wraz z całym narodem polskim bez różnicy przekonań ideologicznych, w poczuciu głębokiej troski o los nie tylko naszych ziem, lecz całej Europy, nawołujemy wszystkich ludzi dobrej woli na świecie, by w poczuciu ciążącej na nich odpowiedzialności za możliwe nowe okrucieństwa i potworne zło moralne dołożyli wszystkich sił, by nie dopuścić do remilitaryzacji Niemiec Zachodnich, do odbudowania hitleryzmu, do akcji rewizjonistycznej i odwetowej.

Jesteśmy przekonani, że nasze stanowisko wyrażające dążenia i troski, które ożywiają serce każdego Polaka, spotka się ze zdecydowanym poparciem całego duchowieństwa polskiego i wszystkich środowisk katolickich i przyczyni się do umocnienia jedności narodu polskiego.

Wojciech KĘTRZYŃSKI

O CZŁOWIEKU MIŁOWANYM W BOGU

Motto: *„Po tym poznają wszyscy, żeście uczniami moimi, jeśli miłość mieć będziecie jeden ku drugiemu"* (Z Ewangelii św. Jana).

NASTRÓJ świąteczny, choinka, radość dziecinna — to wszystko skłania do podejmowania najpiękniejszego tematu — Miłości Chrześcijańskiej. Słuszną dumą otacza chrześcijaństwo kamień węgielny swej doktryny — najgłębiej, najprawdziwiej, najobszerniej, wśród wszystkich systemów moralnych najpełniej rozwiniętą — filozofię miłości.

Strzeżmy się jednak przed uleganiem nastrojom. Są one piękne i wruszające. Zbyt często jednak ułatwiają nam mimowolnie spłycanie problemów najistotniejszych, tych właśnie, które katolicyzm nakazuje nam w dniach uroczystych przemyśleć. Boć przecież jak łatwo jest mówić o miłości w małym kółku rodzinnym, w warunkach niecodziennych i podniosłych, jakże łatwo wówczas nawet zapominać o codziennych niemalże grzechach przeciw miłości, jakie nastręczają nam w tymże kole rodzinnym warunki dnia powszedniego. A jeśliby tak przyszło, na przykład, skonfrontować nasze ideały miłości chrześcijańskiej, przeżywane w Noc Narodzenia Dziecięcia Bożego, ze sprawami o wiele wykraczającymi poza nasze rodzinne zainteresowania?

Słyszałem niedawno słowa człowieka, któremu dane było osobiście przez parę miesięcy przeżywać gehennę narodu koreańskiego. Mówiąc o stosunku tej bohaterskiej ludności do najbardziej nieludzkiej z nowoczesnych armii oświadczył on, że jakkolwiek dotąd żywił wątpliwości co do wartości wychowawczych uczucia nienawiści, to po tym, co ujrzał w Korei, zdaje sobie dopiero w pełni sprawę z tego, że trzeba w sercu każdego człowieka hodować uczucie nienawiści w stosunku do tych, którzy mogą chcieć każdemu narodowi na świecie zgotować te nieszczęścia, które dziś znosić musi naród koreański.

Twarde słowa. Trudne do przyjęcia dla chrześcijan. Godzić się na uczucie nienawiści w sercu ludzkim, hodować je? A chrześcijański nakaz miłości bliźniego, a przykazanie — „miłujcie nieprzyjacioły wasze"?

Roger Geraudy, znany francuski marksista, w swej książce „Kościół, komunizm i chrześcijanie", polemizując z katolicką filozofią personalistyczną stawia nam, katolikom, w pewnym miejscu bardzo poważny zarzut:

„piętnujecie ideę walki klas, metody, którymi się ona posługuje, gwałt, do którego proletariat zmuszony jest odwoływać się, gdy walczy z gwałtem kapitalistycznego ucisku. Ale właściwie — czym się różni w swych formach walka klas od konspiracyjnej i partyzanckiej walki narodowej, prowadzonej w czasie ostatniej wojny przez Francuzów, Polaków i wiele innych narodów? W tym wypadku jednak moraliści chrześcijańscy nie protestowali przeciw gwałtowi, przeciw najbardziej wrogim uczuciom, które się gromadziły w sercach walczących. Czyż więc, pod pozorem potępienia moralnego w stosunku do m e t o d, nie kryje się przypadkiem po prostu próba potępienia c e l ó w walki klas, potępienia samej idei wyzwolenia proletariatu oficjalnie przecież przez katolików nie kwestionowanej? I przypomina nam, katolikom, Roger Garaudy dwa powiedzenia. Jedno spod pióra katolika — Karola Peguy — „Idealiści mają czyste ręce, bo po prostu nie mają rąk", drugie — Marksa — „Jakże łatwo być świętym, gdy się nie chce być ludzkim".

My chcemy mieć ręce i używać je dla dobra. My wiemy, że ideał świętości nie jest bynajmniej łatwym ideałem, my wiemy, że święty, który by nie był ludzkim — nie byłby świętym. Sam Bóg przecież stał się Człowiekiem, by pokazać ludzkości drogę do świętości.

Otóż postawiono przed nami problem l u d z k i. Nie wolno się przed nim uchylać. Czy każdy z nas, katolików, gdy walczył z rozpaczliwą determinacją przeciw zaborcy — nie nienawidził SS-mana, który w lubelskim gniótł główki dziecięce pod okutym butem, oprawcę Oświęcimia czy Majdanka, który torturował i popielił szczątki naszych najbliższych? Jak się mamy więc ustosunkować, w imię obowiązującej nas nauki o miłości bliźniego, do naszej ówczesnej postawy, do dzisiejszych uczuć Koreańczyka w stosunku do żołdaka, który z bezpiecznej wysokości lotu bombowca masakruje z cyniczną precyzją ostatnie resztki domów w przeddzień najsurowszych mrozów, do żądania Garaudy w imieniu rewolucji komunistycznej prawa dla proletariatu do nienawiści w stosunku do świata kapitalistycznego, który okazał się okrutniejszy od gestapowca i lotnika-oprawcy?

Jeśli nie chcemy się narazić na zarzut, iż jesteśmy idealistami bez rąk, wyznawcami nieludzkiej świętości — musimy umieć dać na ten problem odpowiedź. Światła choinki nie rozproszą cieni, jakie on rzuca na moralność naszej epoki.

* * *

ONIE — nie pragniemy bynajmniej psuć nastrojów świątecznych, głuszyć ze złośliwą „schadenfreude" wzniosłych tonów anielskich kolęd u betleemskiego żłobka. Ale sądzimy, że nastroje wigilijne, które by chciały się odseparować od tego, co czują i co przeżywają dziś ludzie na całym świecie — nie byłyby nastrojami prawdziwie chrześcijańskich Świąt. Przeciwnie, przypominałyby, może tragicznie skarykaturowane, faryzejskie tony burżuazyjnej moralności, która lubowała się w pompatycznym demonstrowaniu od święta cnót, które były tylko niezobowiązującym kontrastem, urozmaiceniem w stosunku do codzienności, gdzie nie było miejsca na „babskie ceregiele".

Spróbujmy więc, rozpatrując tajemnicę nieskończonej miłości Bożej, która obdarzyła świat Bożym Dzieciątkiem, Jego nauką i Jego Ofiarą, określić ściślej obowiązującą nas postawę miłości bliźniego wśród tych właśnie problemów, jakiem nam stawia nasza właśnie epoka.

Jan Ewangelista powtarza słowa Pana:

„Przykazanie nowe daję wam, abyście się wzajemnie miłowali, jakom ja was umiłował, abyście się i wy wzajemnie miłowali. Po tym poznają wszyscy, żeście uczniami moimi, jeśli miłość mieć będzieci jeden ku drugiemu" (J. 13,34-35).

Na kartach Ewangelii wielkie przykazania miłości powtarzają się nieustannie, tylekroć w najsubtelniejszych odcieniach precyzowane, najpiękniejszymi przykładami ilustrowane, iż wolno powiedzieć, że stanowią one kwiat myśli Zbawiciela. W naukach Doktorów Kościoła, w modlitwach Jego mistyków, w czynach wyznawców przez wieki rozwijana — nauka o miłości chrześcijańskiej stanowi w dalszym ciągu największy skarb Kościoła Katolickiego. Mimo to jednak teologowie katoliccy obserwują zachodzące w mentalności katolickiej na tym odcinku niepokojące przemiany i nieporozumienia. Miast rozwijać pozytywne wskazania, tkwiące w Ewangelii, a wskazujące na bezpośredni związek istniejący między przykazaniem miłości Boga i przykazaniem miłości bliźniego — umysłowość katolicka skierowywała się raczej ku budowaniu systemu sztywnych norm, nakazów i zakazów, mających poniekąd automatycznie kierować moralnością ludzką. „Niestety, od XVI wieku, pisze na ten temat O. Jacek Woroniecki, na czoło żądań Bożych względem ludzi zaczęto wysuwać Dziesięcioro Przykazań, a dwa wielkie przykazania miłości usunięto w cień".

W wypaczaniu zasad Ewangelii przez Reformację, w zgubnych wpływach jansenizmu dopatruje się ten wybitny teolog głównych przyczyn, dla których sformułowania pozytywne przykazań miłości zrównano z zakazami, a skutki uchybień przeciw pierwszym sprowadzano w konsekwencji do tej samej miary, jaką się mierzy przekroczenia w innych dziedzinach etyki chrześcijańskiej.

Doktryna katolicyzmu, chroniona przez Kościół, pozostała nietknięta, praktyka chrześcijańskiej miłości, metodyka wprowadzania jej w życie uległa jednak wypaczeniu, które niosła ze sobą epoka najdalsza od ideałów chrześcijańskich.

Miłość chrześcijańska została w praktyce wielu pokoleń katolików pojęta w sposób zbyt przyziemny, w sposób pozbawiony całej tkwiącej w tej problematyce głębi mistycznej. Została ona zbyt często pozbawiona swych boskich elementów. Okaleczono ją w sposób bezlitosny, a w skutkach straszliwy. Rozprawiając się właśnie ze skutkami tych obcych chrześcijaństwu naleciałości, tak precyzuje Ojciec Woroniecki chrześcijańskie rozumienie miłości:

„Wola boża winna się stać naszą wolą i tu leży źródło tego głębokiego związku jaki zachodzi między miłością Boga i bliźniego. Jest to może jedna z najważniejszych rzeczy, gdy idzie o wniknięcie w ducha etyki chrześcijańskiej, aby jasno zrozumieć, że są dwa przykazania miłości, ale tylko jedna cnota, która obejmuje w jednym uścisku i Boga i bliźniego".

Fakt istnienia tej jednej, wspólnej cnoty, obejmującej łącznie i miłość do Boga i miłość do bliźniego, jest bogaty w konsekwencje zbyt łatwo zapoznawane. Odsuwa on bowiem na dalszy plan wszelkie względy subiektywne, osobiste, emocjonalne, dyktujące nam taki a nie inny stosunek do drugiego człowieka. Miłość bliźniego nie powinna brać swego początku w uczuciach, nawet najszlachetniejszych, jakie on może w nas wzbudzać. Ani podziw, ani przywiązanie, ani litość, ani współczucie nie powinny być głównymi motorami powstawania w nas miłości bliźniego. W tej samej też mierze i wszelkie uczucia negatywne, jakie, słusznie czy niesłusznie może drugi człowiek w nas wzbudzać — gniew, obrzydzenie, czy nawet nienawiść — nie mogą również wpływać na naszą postawę miłości w stosunku do bliźniego.

(Dokończenie na str. 4)

Emmanuel — Bóg z nami

BOŻE NARODZENIE! Ile treści w tych dwóch słowach! Ile wspomnień dla jednych, ile żywych przeżyć u drugich! Czy nie słyszymy w tych wyrazach anielskich chórów? Ledwo ulowionego uchem chrzęstu łamanych opłatków? Melodii kolend, słodkich jak słabo pamiętana kołysanka matczyna? Czy nade wszystko nie słyszymy melodii nieprzeniknionych tajemnic bytu? Czy nie wiążą się one z zapachem żywicy jodłowej i świec, co się jarzą na choince?

To może najbardziej ze wszystkich ulubione święto nie należy do najstarszych w liturgii. Nie sięga czasów apostolskich, jak Wielkanoc i Zielone Święta. Nie jest także najuroczystszym świętem. Ustępuje w rytuale dwu wymienionym i Epifanii — 6 stycznia. A mimo to uświetnione, jak żadne, potrójną mszą i tyle w nim radości!

Noc jeszcze panuje. Mrok adwentowego oczekiwania rozciąga się w czytaniu pierwszego nokturnu. Opowiada on słowami Izajasza, że „lud brnący w ciemnościach ujrzał wielkie światło". Rozlega się szczęk oręża, widać krwawe zmagania z mocami ciemności. I oto po słowach „Parvulus natus est nobis, filius datus est nobis" — „Dzieciątko nam się narodziło, Syna nam dano" — rozlegają się w responsoriach radosne pienia:

„Dzisiaj się raczył narodzić Król nieba
z Dziewicy,
Dzisiaj pokój prawdziwy z nieba zawitał,
Dzisiaj spływają miodem niebiosa na ziemię,
Dzisiaj zajaśniał dzień Odkupienia,
dzień, co naprawia stare przewiny,
dzień wiecznej szczęśliwości".

Nigdy nie powtarza się to słowo „hodie" tak obficie, jak w uroczystość tej świętej nocy, gdy Wieczność została wszczepiona w przemijającą falę czasu, Bóg wszechogarniający w ograniczoną materię. Do ekstazy dochodzi rozważanie tej tajemnicy w antyfonie do kantyku „Benedictus", śpiewanego już o brzasku dnia:

Dzisiaj narodził się Chrystus,
Dziś się ukazał Zbawiciel,
Dzisiaj śpiewają aniołowie na ziemi,
radują się archaniołowie,
Dzisiaj weselą się sprawiedliwi i głoszą:
Chwała Bogu na wysokościach, alleluja".

Motyw światła, rozpraszającego mroki, przepaja całą liturgię święta i jest jego najgłębszą symboliką. Jak całe święto, tak i jego liturgia zrodziła się ze znacznie starszej uroczystości Objawienia Pańskiego (Epifanii). Zamiłowanemu w konkretnych określeniach umysłowi Zachodu nie wystarczało rozważanie samej istoty tajemnicy Wcielenia, samo objawienie się Bóstwa w osobie Dzieciny z Betlejemu, co było wystarczające i najważniejsze dla tych, co wprowadzili święto Epifanii na Wschodzie. Jest rzeczą oczywistą, że sam fakt narodzenia Jezusa, Syna Bożego, jest, przy całej swej zdumiewającej treści, zjawiskiem drugorzędnym w dziele Odkupienia, ale ono właśnie interesowało ludzi Zachodu.

Ponieważ jednak najdawniejsza starożytność chrześcijańska nie dbała o ścisłą datę narodzin Syna Bożego z Maryi, dlatego pora roku, miesiąc, dzień — poszły w nieprzeniknioną niepamięć. W trzecim wieku uznawano dzień 28 marca za dzień narodzin. Dopiero w czwartym wieku, gdy na Zachodzie zaczęło się zarysowywać odrębne święto Bożego Narodzenia, ustalono dzień 25 grudnia jako dzień przyjścia na świat Zbawiciela.

Datę podyktował wzgląd na głęboką symbolikę, jaka się kryje w tym połączeniu pory roku z narodzeniem Chrystusa Pana. Sam Chrystus nazywał się przecież wielokrotnie światłością świata, zapewniając, że ten kto idzie za Nim „nie będzie chodził w ciemnościach, ale będzie miał światło życia". Jego przyjście na świat kojarzyło się nieodparcie z przesileniem zimowym dnia z nocą. Równocześnie kierowano się w ustalaniu daty względami duszpasterskimi. Przez wyznaczenie święta Bożego Narodzenia na dzień 25 grudnia chciano niezawodnie nadać sens nowy obchodzonemu hucznie pogańskiemu świętu „narodzin niezwyciężonego słońca". Kierował się w tym względzie Kościół odwieczną metodą akomodacji. Hymn „Creator alme siderum" — „Czcigodny gwiazd Stworzycielu" pouczał, że nie tyle sama bryła ognista słońca jest źródłem światła, ile przede wszystkim Ten, co tę bryłę z nicości do bytu powołał. W życiu zaś duchowym człowieka, w jego moralności, obyczajach, kulturze światłem i jasnością jest „Lumen de Lumine", Światłość, pochodząca od Światła, Syn Boży.

Jeżeli każde święto Pańskie można słusznie nazwać świętem światła, to przede wszystkim należy to powiedzieć o tej uroczystości świętej, cichej Nocy betlejemskiej. Światło Sprawiedliwości, jak nazywa Chrystusa Pana liturgia, pokazuje się już na horyzoncie i rozpraszając mroki nocy duchowej, zapowiada nowe czasy.

Toteż motyw światła przewija się w różnych wariantach przez trzy msze na ten dzień przypadające. „W jasności z łona mojego jeszcze przed jutrzenką zrodziłem Ciebie" — to wstęp do ewangelii z mszy pierwszej, odprawianej o północy. Zanim Maria owinęła Dzieciątko w pieluszki, zanim świat powstał, On był w łonie Trójcy Najświętszej. W kolekcie tej mszy prosimy Boga, by nam dopomógł poznać tajemnice bytu w promieniach tego Światła, co rozjaśniło Noc cudowną.

Druga msza cała jest przepojona symboliką światła i już introit rozpoczyna się radosnym okrzykiem: „Światłość zajaśniała dzisiaj nad nami, albowiem narodził się nam Pan". W najgłębsze jednak akordy uderza trzecia msza. Jej punktem centralnym jest orle spojrzenie ewangelii w tajemnicę Syna Bożego. On jest światłością prawdziwą, co oświeca każdego człowieka na świat przychodzącego. Ta światłość w ciemnościach świeci, a ciemności jej ogarnąć nie mogą. W niej bowiem jest Żywot.

Boże Narodzenie jest nie tylko wspominaniem historycznego zdarzenia na pastwisku betlejemskim. W nim odnajdujemy światło, co nas prowadzi po obszarach świata wśród rozlewających się mroków błędu, ułomności natury naszej i trosk doczesnych.

A radość tych przedziwnych świąt płynie nie tylko z im właściwego nastroju, nie tylko od rzewnych wspomnień dzieciństwa czy od blasku rozjarzonych na choince świeczek, ale z tej świadomości, że w mrokach życia jaśnieje i prowadzi nas Ten, co się zwie EMMANUEL — to jest Bóg z nami, Bóg wśród nas.

O CZŁOWIEKU MIŁOWANYM W BOGU

„Jego własne przymioty czy też ich braki, podkreśla to O. Woroniecki najdobitniej, nie wchodzą tu w ogóle w rachubę, bo nie są one pobudką naszej miłości, ale jedynie miłość, jaką Bóg do niego żywi i którą pragnie się z nami dzielić".

„Kto bowiem nie miłuje brata swego, którego widzi, Boga, którego nie widzi jakże miłować może?" (J. 4,20).

* * *

„UMIŁOWANI w Bogu" — ta kwintesencja katolickiej nauki o miłości bliźniego stała się w zbyt wielu wypadkach dziś tylko kaznodziejskim zwrotem. Tymczasem treść tych słów jest niezwykle istotna. Przypomina ona bowiem, że najważniejszą przyczyną naszej miłości do bliźniego — jest miłość nasza do Boga i miłość, którą Bóg obdarza każdego, najbardziej grzesznego człowieka.

Chodzi więc tu o przypomnienie, że miłość chrześcijańska nie mierzy się w żadnym razie kategoriami naszych przyziemnych ludzkich uczuć. Jest ona określeniem naszego stosunku do drugiego człowieka, n i e z a l e ż n i e od tego, jakie on w nas w danej chwili wzbudza uczucia. Doprowadzając tę myśl do granic paradoksu — można więc stwierdzić, że należy — w Bogu i dla Boga — kochać po chrześcijańsku nawet i tego człowieka, którego postępowanie wzbudza w nas nawet i uczucie nienawiści. Gdybyśmy bowiem w tej właśnie chwili odmówili mu miłości chrześcijańskiej popełnilibyśmy grzech śmiertelny, odmawiając jednocześnie Bogu cząstkę należnej mu miłości. Miłosierdzie Boże jest bowiem nieskończone, obejmując sobą i ludzi najpodlejszych. Jeśli ich Bóg miłuje, jakżeż my możemy im naszej miłości odmawiać, nie odmawiając jej jednocześnie Bogu.

„A ja wam powiadam: Miłujcie nieprzyjacioły wasze, dobrze czyńcie tym, którzy was mają w nienawiści, a módlcie się za prześladujących i spotwarzających was. Abyście byli synami Ojca waszego, który jest w niebiesiech, który sprawia, że słońce jego wschodzi nam dobrymi i złymi, a deszczem zrasza sprawiedliwych i nieprawych. Gdybyście bowiem miłowali tych, którzy was miłują, cóż za nagrodę mieć będziecie? Czyż i celnicy tego nie czynią?" (M. 5,44-47).

Sentymentalizm, który w myśleniu katolickim rozpanoszył się przez wiek XIX, stwarzając naturalny podkład dla idealistycznych kierunków filozoficznych, wypaczał jednak nie tylko katolickie pojęcie miłości bliźniego. W równym stopniu wypaczał także i myślenie kategoriami społecznymi; skłaniał katolików do lubowania się w utopiach, a uchylania się przed rzeczywistym wpływem na tok rzeczy ludzkich. Apostrofa Peguy do tych, którzy „mają czyste ręce, bo po prostu nie mają rąk", odnosiła się w kręgu katolickim do tej właśnie orientacji, która wyznawała zasadę, że konkretne odniesienie się, prawdziwe zaangażowanie się w rzeczywistość stosunków społecznych „brudzi ręce" katolikom.

Wypada więc w tym miejscu, wracając do zarzutów postawionych przez Garaudy, zastanowić się chwilę, jak wygląda w rzeczywistości problem katolickiego zaangażowania się w walkę, społeczną czy polityczną, obojętne. Tam bowiem, gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą — mówi polskie przysłowie. Tam, gdzie toczy się walka, gdzie napotykamy się na przeciwnika, który nie liczy się ze względami ludzkimi — tam rodzą się namiętności, serce napełnia się najgwałtowniejszymi uczuciami. Ten, który walczył z hitlerowskim najeźdźcą, musi się przyznać, jeśli nie chce być zakłamanym, że w katolickim sercu rodziło się także, w chwilach próby, uczucie nienawiści w stosunku do tego nieludzkiego wroga. Czy z tą chwilą przestawał być chrześcijaninem?

Sentymentalizm dziewiętnastowieczny ukuł tezę, że katolik winien być „ciepły", że mocne, gwałtowne uczucia ludzkie winny mu być obce. Za tą tezą kryje się wygodnictwo moralne, które każe na sprawy ludzkie, na sprawy cudze patrzeć okiem obojętnego, chłodnego obserwatora. Uczucia zaś chować egoistycznie dla siebie samego. Kocha się wówczas bogactwo, kocha się kobietę pożądaną, kocha się czasem Boga miłością niezobowiązującą, nienawidzi się osobistego wroga czy rywala. To wolno. To są uczucia opiewane przez poetów. Inne uczucia są niegodne człowieka. Powoli narastające idee patriotyczne rozwinęły jeszcze jedno uczucie — kocha się swój naród, walczy się z jego wrogami.

Postawmy jednak sprawę jasno. Człowiek, zaangażowany społecznie, żyjący i walczący o ideały ludzkiego współżycia ma prawo do żywienia w swym sercu uczuć najgorętszych. Oceniając tedy postawę emocjonalną, jaką wzbudza w innych ludziach postawa społecznego zaangażowania, nie mamy prawa do faryzejskiego gorszenia, gdy uczucia te, w określonych okolicznościach, rozpalają się do białości.

Ten więc, kto by w imię ideału „czystych rąk" odmawiał proletariatowi prawa do walki ze światem kapitalistycznym, kto by się gorszył uczuciami, jakie ta walka budzi w sercach ludzi, którzy prócz krzywdy i upokorzeń niczego innego nie zaznali — ten jest zwolennikiem owej „świętości nieludzkiej", która fałszuje najpiękniejsze cechy chrześcijaństwa!

Ewangelia znajduje dla napiętnowania egoizmu słowa najmocniejsze. Nie szczędzi ich Jan Ewangelista, którego postać i dzieło jest przepojone miłością i niebiańską słodyczą:

„My wiemy, żeśmy przeszli ze śmierci do życia, bo miłujemy braci. K t o n i e m i ł u j e t r w a w ś m i e r c i. Każdy, kto nie miłuje brata swego m o r d e r c ą j e s t. A wiecie, że żaden morderca nie ma w sobie żywota wiecznego. Przez to poznaliśmy miłość Boga, że oddał za nas życie swoje i my winniśmy życie oddać za braci. Kto by miał majętność tego świata, a widziałby brata swego w potrzebie i zamknął przed nim serce swoje — jakże może w nim przebywać miłość Boża? Synaczkowie moi, n i e m i ł u j m y s ł o w e m, a n i j ę z y k i e m, a l e c z y n e m i p r a w d ą. Po tym poznamy, że jesteśmy z prawdy i będziemy mogli utwierdzić wobec Boga serca nasze". (I J. 3,14-20). (Podkreślenia autora).

„Kto nie miłuje brata swego — mordercą jest" — wyrok został wydany. Miłować zaś trzeba nie słowem, ani językiem — ale czynem i prawdą. Jakżesz te słowa są odległe od sentymentalistycznych i subiektywnych interpretacji miłosierdzia, sprowadzającego się do dobroczynności z litości. Nawet nieświadomość nie została tu usprawiedliwiona — „kto by miał majętność tego świata, a nie widziałby brata w potrzebie" także zasługuje na potępienie. Niechże więc ten, kto jest bez grzechu, kto nie zamknął nigdy oczu na potrzeby brata-proletariusza w gorzkich czasach kapitalizmu — rzuci pierwszy kamieniem na tego, w którego sercu wzrosła nienawiść do tych, którzy „mieli majętności tego świata".

(*Dokończenie ze str. 3*)

„My nie mamy prawa — tłumaczy nam Garaudy, pomiędzy gwałtem, a absolutnym unikaniem gwałtu. Marksizm nie wynalazł walki klas, on ją po prostu stwierdził. Źródłem gwałtu jest kapitalizm, z jego nędzą i bezrobociem, z wyzyskiem pracujących i kryzysami, z chaosem ekonomicznym, jaki stwarza, faszyzmem jaki przygotowuje, wojny dla rabunku, jakie wywołuje. Tylko hipokryta może więc postawić problem — czy mam prawo stosować gwałt? Znaleźliśmy się w centrum walki. Pozostać neutralnym, to stać się wspólnikiem zbrodni, jakie się dzieją wokoło".

* * *

WIĘC może apoteoza gwałtu, nienawiści? Kapitulacja ideałów chrześcijańskich, jako nieżyciowych i nieskutecznych, przed twardą rzeczywistością dzisiejszego świata, w którym nie ma miejsca dla prawdziwej miłości? Może sugestia zawieszenia na pewien czas nauki Chrystusowej, ponieważ sprawiedliwa, niewątpliwie historycznie uzasadniona walka o wyzwolenie proletariatu tego wymaga?

Ale czyśmy takimi kategoriami myśleli na przykład w latach wojny? Nie, byliśmy przekonani, że tocząca się walka nie zwalnia nas w niczym z przykazań katolicyzmu, nie poczuwaliśmy się do ich zdrady czy nawet chwilowego zawieszenia.

A więc może, po prostu, analiza naszego udziału w tej walce wskazuje na fikcyjność postawy miłości bliźniego, która by się ograniczała do górnolotnych frazesów, obowiązujących od święta, a zapominanych w wirze dnia codziennego?

Nie, nie apoteozujemy walki. Ani walki między klasami, ani walki między narodami. Nie czynimy z faktu jej istnienia podstawy, na której budujemy kodeks naszej moralności. Nie zapominamy, że w Ewangelii obok najostrzejszych słów potępienia dla egoizmu istnieją kategoryczne nakazy: „miłujcie nieprzyjacioły wasze, a dobrze czyńcie tym, którzy was mają w nienawiści".

Świat jest daleki od ideału, który malował nam Chrystus Pan w czasie Swej ziemskiej wędrówki. Był jednak także daleki za Poncjusza Piłata. Fakt, że Królestwo Boże nie zstąpiło na ziemię, w niczym nie zwalnia nas z obowiązku uczestniczenia w przemianach, jakie się wokół nas dzieją, gdyż istotnie „być neutralnym — to stać się wspólnikiem zbrodni". W ramach naszych ludzkich możliwości musimy dziś zdobyć się na najwyższą energię wzięcia udziału w wielkim dziele przemienienia istniejących stosunków społecznych na lepsze. A dzieła tego możemy dokonać tylko — c z y n e m i p r a w d ą. Jedno i drugie jest niezbędne.

Czynem — to dziś znaczy walką. Walką o narzucenie przemian, które by umożliwiły, w granicach dostępnych człowiekowi, rozszerzanie się zbrodni społecznego egoizmu, która w poprzedniej epoce doszła chyba do swego szczytowego nasilenia. Tylko przemiana ogólnych stosunków ekonomicznych i politycznych, jakkolwiek trudna, kosztowna i bolesna, tylko ta rewolucyjna przemiana może dziś stworzyć warunki dla lepszych sprawiedliwszych międzyludzkich stosunków w przyszłości. Udział w tej walce wymaga od nas męstwa, gdyż niewątpliwie warunki, w których się ona rozwija, stawiają katolikowi najcięższe problemy moralne do rozstrzygnięcia. Rewolucja marksistowska, jak to słusznie zauważa Garaudy, nie ma wyboru w stosowaniu metod walki. Ale światopogląd marksizmu, odrzucając ideę Boga Wszechmiłosiernego wyciąga z toczącej się walki inne konsekwencje etyczne, niż te, które nas obowiązują. Nie tylko więc sam fakt rozognionej walki społecznej, ale i przodująca w niej rola marksizmu stawia przed nami trudne do rozwiązania dla katolików problemy. W niczym to nas jednak nie upoważnia do zrzeczenia się naszej odpowiedzialności za dalszy tok rewolucji społecznej. A tylko skuteczny czyn uzasadnia nasze prawo do zgłaszania naszych moralnych zastrzeżeń.

Prawdą — to znaczy codziennie świadczyć o prawdziwości chrześcijańskiego nakazu kochania w Bogu każdego bliźniego, nawet nam najbardziej wrogiego. Nawet tego, którego w namiętności walki nie możemy, nie chcemy kochać ludzkim uczuciem. W tych granicach nienawiść jest już katolikowi niedozwolona. Stwierdziliśmy to już dobitnie uprzednio. Cóż jednak oznacza, sprowadzając do konkretu — kochać w Bogu nieprzyjaciół naszych, dzisiejszych wrogów ludzkości?

Oznacza to, że zarówno patrząc na Koreę, jak i patrząc na Oświęcim katolik ma obowiązek pamiętać że:

— każdy człowiek, nawet najgorszy, ma duszę nieśmiertelną i że nieskończone miłosierdzie Boskie daje mu prawo do jej zbawienia. W najgorszym nawet nieszczęściu nie wolno bliźniemu życzyć potępienia. Przeciwnie — zawsze mamy obowiązek modlić się o jego poprawę i ostateczne, w Bogu wybaczenie. W niczym nas to jednak nie zwalnia od prawa i obowiązku czynnego przeciwstawiania się czynionemu przez niego złu.

— każdy człowiek, nawet największy zbrodniarz, posiada w sobie iskierkę godności, gdyż i za niego umarł Ukrzyżowany. Jakiekolwiek są warunki walki, które mogą przeciwstawić człowieka człowiekowi — o zachowanie tej godności u obu stron trzeba zabiegać.

— celem ostatecznym każdej walki, toczonej między ludźmi musi być ideał dobra powszechnego, który nie jest ideałem dobra wszystkich jednocześnie, lecz obiektywnym wyrazem ich potrzeb. Światopogląd katolicki daje nam nie tylko obraz dobra powszechnego w zakresie spraw ducha, ale i również w zakresie spraw ciała. Biorąc udział w walce musimy umieć zawsze pamiętać, że toczymy ją w imię, najlepiej przez nas pojętego, dobra powszechnego, a więc w ostateczności także i w imię obiektywnego dobra i tego, który w tej walce stał się naszym przeciwnikiem.

—przekroczenie zasad miłości bliźniego w walce — to przekreślenie najistotniejszych zasad swojej własnej wiary. Nie wzięcie udziału w walce, której wynik uzależnia realizację ideału dobra powszechnego, choćby nawet można było osiągnąć tylko cząstkę jego celów w danym momencie — jest w równej mierze grzechem. Człowiek ma bowiem obowiązek służyć bliźniemu nie tylko majętnością swoją, ale i życiem swym całym. Ryzyko moralne, jakie pociąga za sobą postawę zaangażowania w ludzką walkę — to tylko zdawanie egzaminu dojrzałości z głębi własnego katolicyzmu. Odmówienie tego ryzyka — to przyjęcie postawy idealizmu czystych rąk — za cenę braku rąk, to hołdowanie idealowi „świętości" za cenę wyrzeczenia się ludzkości.

— kamieniem węgielnym postawy zaangażowania w walce dla katolika jest „sensus catholicus" — jest właściwe rozumienie po katolicku ideału dobra powszechnego obowiązującego dla danej epoki, w danych warunkach. Jakkolwiek w filozofii prawa naturalnego znajdujemy jego ogólne założenia, to tylko rzetelna znajomość danej epoki i konkretna wola rzeczywistego służenia bliźniemu pomocą — pozwala nam na określenie bieżących wytycznych działania. W tej dziedzinie nie można się zadowalać abstrakcją i ogólnikami.

* * *

W CICHEJ, betlejemskiej stajence Bóg zeszedł na świat, by dzielić troski ludzkie, by wskazać im drogę do żywota wiecznego. W dniu Bożego Narodzenia skupiamy się wszyscy, w gronie naszych najbliższych, wokół Drzewa Nadziei, by oddać hołd Świętej Rodzinie i łączyć się z jej radością. Jednocześnie jednak myśl nasza płynie ku innym rodzinom i ku tym wszystkim, którym z jakichkolwiek powodów nie dane było cieszyć się w pokoju radością świąteczną.

W dniu Święta Miłości myśl chrześcijańska winna obejmować sprawy wszystkich ludzi. Niech tchnienie Bożego Miłosierdzia przepoi miłością stosunki ludzkie. Nie zapomnijmy jednak, że miłość ta w jednakowym stopniu winna obowiązywać w naszej postawie wobec toczącej się dziś na świecie wielkiej społecznej walce, w tej samej mierze w konfliktach różnych światopoglądów, ale i również i w stosunkach między samymi katolikami, wśród których różnice ludzkie zaznaczają się tak samo wyraźnie, jak i wszędzie indziej.

Postawa miłości bliźniego jest tą kroplą dobroci, która drąży skały ludzkiej zatwardziałości. Z dnia na dzień nie zobaczymy jej wyników. Pozornie nie wiele się zmieniło w świecie od czasów Chrystusowych. Nie mniej jednak tylko ta postawa otwiera serca ku Dobrej Nowinie, która poprzez wieki stale i wciąż otwiera drogę do Wiecznego Zbawienia.

„Nie daj się zwyciężać złu, ale zło dobrem zwyciężaj" (Rzym. 12. 21) pod tym hasłem, w codziennej pracy, w codziennej walce budujemy każdym uczynkiem drogę do Królestwa Bożego.

Wojciech Ketrzyński

Zygmunt LICHNIAK

OBRACHUNKI ZE WSPÓŁCZESNOŚCIĄ (20)

PRZED NOWYMI ZADANIAMI

NA początku roku, który zamykamy w pracy redakcyjnej tym numerem, rozpocząłem cykl artykułów, mających ambicję dokonania krytyczno-literackich obrachunków z najważniejszymi i najbardziej typowymi wydarzeniami naszego powojennego piśmiennictwa. Chociaż cykl ten nie obejmuje wszystkich wydarzeń literackich i chociaż wiele pozycji powinno rozszerzyć jego ramy, należy — moim zdaniem — w krótkim podsumowaniu obliczyć się z dotychczasowymi wnioskami i dotychczasową nader skromną ilością doświadczeń krytyczno-literackich, aby, stając przed nowymi zadaniami, widzieć je dokładniej i pełniej.

Przypominając czytelnikom, pisarzom i samemu sobie przebieg rocznej pracy, poświęconej opisowi i ocenie naszej powojennej literatury w jej konkretnych przejawach, chciałbym zwrócić uwagę przede wszystkim na kilka zagadnień ogólnych, które — nie roszcząc sobie najmniejszego prawa do syntezy — mogą jednak stać się punktami wyjściowymi dla pracy na nowym etapie, który oczekuje wszystkich, a zwłaszcza katolickich krytyków.

W artykule rozpoczynającym cykl „Obrachunków ze współczesnością" i ustalającym jego robocze założenia (numer 272 z dnia 11 lutego b. r.) pisałem sceptycznie lecz — dla siebie — zobowiązująco, że „ważniejszy w tej chwili jest powrót do praktycznego działania krytycznego, niż powrót do teoretycznych bojów". Wniosek ten wynikał z pesymistycznej, lecz realnej oceny naszych usiłowań dyskusyjnych na tym odcinku w poprzednim okresie. Wniosek ten z pewną poprawką trzeba powtórzyć i dzisiaj. Ważniejsze w tej chwili są praktyczne wysiłki zmierzające ku konkretnej ocenie konkretnych zjawisk literackich, niż ogólnikowe rozhowory teoretyczno-metodologiczne. Obserwowaliśmy w jednym z bratnich pism dwie poważne (objętościowo) dyskusje o krytyce literackiej i powieści katolickiej, lecz ich ogólnikowość, chaotyczność i sielankowy abstrakcjonizm nie zachęcają ani do kontynuowania prób tego typu, ani do podejmowania prób podobnych. Coraz jaśniejsze jednak staje się twierdzenie, że w kontakcie z konkretną materią literacką trzeba coraz częściej sięgać do filozoficznych, ontologicznych niemal przesłanek praw estetycznych i ideologicznych, obiektywizujących się w dziele literackim. Twierdzenie to niech będzie w tym krótkim bilansie i krytyką własnej krytyki i jej nowym, zbyt rzadko — jak do tej pory — podejmowanym zobowiązaniem.

Zobowiązanie to tym trudniejsze i tym bardziej obowiązujące, im wyraźniej krystalizuje się w toku konkretnej pracy krytyczno-literackiej potwierdzane w naszym odbiorze doświadczeniami marksistowskich krytyków polskich przekonanie, że ocena dzieła literackiego, wychodząca z przesłanek wyłącznie socjologicznych, jest niepełna i skazana na prawie nieuniknioną wulgaryzację. Chociaż krytykom marksistowskim ciągle przypomina się że nie wolno wulgaryzować, przypomnienia te nie zastępują przecież tych subtelnych narzędzi, które zdolne są odsłonić całą ideologiczną i estetyczną prawdę zjawisk literackich. Próby znalezienia takich narzędzi — jak do tej pory — kończą się ustalaniem zdań przeciwstawnych sobie nawet w ramach jednego systemu przesłanek. Zdarza się bowiem — i fakt ten powinien posiadać wymowę obiektywną — iż jeden z przedstawicieli twierdzi np. że Balzak jest przedstawicielem realizmu proburżuazyjnego, drugi zaś przedstawiciel tej samej szkoły myślowej widzi w Balzaku symbol literatury antyburżuazyjnej. Jeśli się zważy wielkie znaczenie tych określeń dla funkcjonowania zdań prawdziwych w ramach tej szkoły, którą reprezentują przykładowo wspomniani antagoniści, zrozumiałe jest dla obiektywnego obserwatora, że niezgodność ich postaw w pośredni sposób uzewnętrznia sprzeczności co najmniej w stosowaniu samej metody.

Te obserwacje poczynione na prawo i na lewo oraz reptrospektywny rzut oka na własne poczynania krytyczno-literackie ukonkretniają poprawkę, którą wnieść dzisiaj trzeba do wspomnianego wniosku sprzed roku. Mianowicie: świadomość wszystkich trudności metodologicznych oraz świadomość złożoności dzieła literackiego wymaga pogłębienia konkretnych ocen i opisów literackich o próbę wyjaśnienia ich korzeni filozoficznych. Innymi słowy: stając przed nowymi zadaniami podjąć trzeba dodatkowy trud ufilozoficznienia krytyki.

Zjawiska literackie „same w sobie" nie są i być nie powinny przedmiotem oceny. Wartość zjawisk literackich zarówno w ich socjologicznym jak i psychologicznym wymiarze polega na wzbogacaniu naszej wiedzy o świecie na rozszerzaniu kręgów naszego poznania Chociaż nie udało mi się w ramach dotychczasowych sumowanego tu cyklu zrealizować postulatu ufilozoficznienia krytyki, który staje się wielkim zadaniem na przyszłość, realizowałem na miarę sił własnych postulat wydobywania z wielkiego liczbowo dorobku powojennej literatury polskiej jej elementów najbardziej typowych, tych, które były określnikami artystycznymi nowego sposobu ujmowania rzeczywistości. Pochylałem się przede wszystkim nad tymi tekstami, z których można było wyczytać przemiany dokonujące się w świadomości artystów, a będące jednocześnie intelektualną pars pro toto ogólnego procesu przebiegającego w nas i poza nami, a obiektywizującego się w nowym układzie sił społecznych, politycznych i kulturalnych. W omawianych przeze mnie pozycjach interesowały mnie w pierwszym rzędzie problemy tam poruszane, a w drugim rzędzie dopiero indywidualny wkład twórcy w dzieło. Nie zdołałem zamknąć w ramach swojego cyklu wielu zjawisk istotnych. Trzeba się będzie kusić o odrobienie tego braku w innej formie. Ale zatrzymałem się przy dziełach najbardziej typowych, najpełniej określających w artystyczny sposób prawdę osiągnięć i błędów naszej epoki i ludzi w niej żyjących.

Jeśli chodzi o powieść uwagę moją poświęciłem przede wszystkim tym pozycjom, które najwyraziściej ukazywały charakterystyczne dla naszego czasu tendencje i nastawienia. Próbowałem wejść w powieść Gołubiewa (numer 273, z dnia 18 lutego), zastanawiałem się nad twórczością Dobraczyńskiego (numer 277, z dnia 18 marca i numer 304, z dnia 23 września), starałem się zbadać niepokojące skłonności Żukrowskiego (numer 284, z dnia 6 maja). Widziałem konieczność zbliżenia się ku dziełom powieściowym pisarzy marksistowskich lub tych, którzy ciążą ku marksizmowi. Próbowałem uchwycić najbardziej według mnie charakterystyczne i typowe cechy twórczości Brezy (numer 274, z dnia 25 lutego), badałem cykl Brandysa (numer 275, z dnia 4 marca), pisarstwo Adolfa Rudnickiego (numer 276, z dnia 11 marca), próby stworzenia t. zw. „powieści produkcyjnej" (numer 286, z dnia 20.V.), zastanawiałem się nad próbą Macha (numer 288, z dnia 3 czerwca), podnosiłem krzyk przy próbach Bartelskiego (numer 296, z dnia 29 lipca) i Husarskiego (numer 306, z dnia 7 października). Świadom niedoskonałości własnych narzędzi badawczych, usiłowałem wniknąć w tajemnice poezji. Odwoływałem się do przykładu Lieberta (numer 280, z dnia 8 kwietnia), by na konkretnym materiale badać dzisiejsze szanse młodej poezji katolickiej. Formułowałem o niej ogólny i ostry sąd (numer 305, z dnia 30 września), a jednocześnie starałem się rozpatrzeć twórczość poszczególnych reprezentantów naszej poezji. Usiłowałem wniknąć w sztukę poetycką Chrzanowskiego i Rostworowskiego (numer 305, z dnia 30 września), próbowałem wskazać symptomatyczne niebezpieczeństwa i uroki poezji Podsiada (numer 315, z dnia 9 grudnia), pragnąłem uwyraźnić niebezpieczeństwo konwencji poetyckiej na przykładzie Szczawińskiego i Olszewskiego (numer 316, z dnia 16 grudnia). Mierząc trochę siły na zamiary zająłem się także poezją marksistowską lub tą, która nią być pragnie. Interesowała mnie droga poetycka Mieczysława Jastruna (numer 280, z dnia 8 kwietnia), usiłowałem wykazać ważność wykrystalizowanej koncepcji estetycznej poezji na przykładzie Pawła Hertza (numer 281, z dnia 15 kwietnia), sygnalizowałem niebezpieczeństwa nowego typu poezji społecznej na przykładzie Woroszylskiego (numer 282, z dnia 22 kwietnia), rozszerzyłem swoje obserwacje na całość problemu młodej poezji marksistowskiej (numer 285, z dnia 13 maja), zastanawiałem się nad jej najwybitniejszymi — moim zdaniem— przedstawicielami, których wówczas widziałem w Tadeuszu Kubiaku i Andrzeju Braunie (numer 295, z dnia 22 lipca).

Prawie wszystkie te próby spotkały się z ostrą oceną, zarówno z prawa, jak i z lewa. Usiłowałem wykazać nieprzydatność takiej formy krytykowania krytyki (numer 294, z dnia 15 lipca). Mimo niewątpliwych braków i niedociągnięć całego cyklu upoważnia on — moim zdaniem — do wysnucia przynajmniej kilku wniosków ogólniejszej natury. Wnioski te zrodziły się z ciągłego, a często bolesnego obcowania z najważniejszymi zjawiskami literackimi minionego okresu.

SZCZEGÓLNIE ważny wydaje mi się problem polskiej powieści współczesnej. Wszyscy doskonale rozumiemy, ze zadania społeczno-polityczne i kulturalne, przed jakimi postawił ją obiektywny układ sił w naszej rzeczywistości polskiej, są niesłychanie trudne i wymagają ogromnego wysiłku artystycznego i ideologicznego. Nie trzeba chyba nikomu na tym miejscu przypominać, że wielkość tych zadań i historyczna za ich realizację odpowiedzialność jest dla wszystkich faktem oczywistym. Wszyscy wiedzą, że pisarze polscy nie mogą się uchylić od spełnienia swojego wielkiego i zaszczytnego obowiązku. Mamy do odnotowania kilka ich wybitnych osiągnięć. Przykładowym jest osiągnięcie Lucjana Rudnickiego.

Ale przykład ten jest podwójnie przykładowy. Oceniając bowiem pozytywnie zryw pisarstwa polskiego ku wielkim i pięknym tematom nie możemy zapominać i nie mówić o błędach i załamaniach. Głównym niepokojem, który budzi we mnie polską powieść współczesna lat ostatnich a zwłaszcza roku ostatniego, jest jej zbyt duża skłonność ku publicystyce. Skłonność ta dlatego przede wszystkim jest niebezpieczna, że zagraża poważnie podstawowym prawom działania artystycznego. Cechą zasadniczą ostatnich wystąpień powieściopisarskich jest dążność ku zamknięciu w kształcie powieściowym syntezy pisarskiej wiedzy o świecie. Każdy niemal pisarz i każda niemal powieść ma ambicje poruszania i rozwiązania wszystkich niemal problemów, stawianych przez współczesność. Taki omnibus powieściowy ma jak najszybciej przewieźć jak największą ilość ludzi w nową epokę socjalizmu. Nie wydaje mi się, żeby była to metoda właściwa.

Nie chodzi mi w tej chwili tylko o konsekwencje — jak to się mówi — formalne. Oczywiście, powinny one wszystkich zastanowić. Powieściopisarz, który w swój wór powieściowy ładuje wszystko, nie może panować i w istocie nie panuje nad artystyczną organizacją materiałów. Dlatego w jego dziele pojawiać się muszą zamiast ludzi makiety, dlatego sytuacje najczęściej przebiegają w sposób niezgodny z psychologią czy nawet socjologią bohaterów.

Wiemy, że nie ma podziału między treścią i formą. To, co uzewnętrznia się w brakach kształtu artystycznego, osłabia także wartość ideową dzieła. Uproszczenia rysunku postaci czy przebiegów sytuacyjnych są uproszczeniami problemów, są uproszczeniami koncepcji. Wielokrotnie zwracałem na to uwagę przy omawianiu konkretnych zjawisk, ale czuję się zobowiązany do uogólnienia tego wniosku w tym krótkim bilansie.

Przed powieściopisarzami polskimi w dalszym ciągu stoi olbrzymi problem stworzenia nowej konwencji powieściowej, która — odpowiadając wymaganiom naszych czasów — nie będzie ich realizowała przez gwałt zadawany prawom artystycznym. Wydaje mi się, że droga ku rozwiązaniu tego problemu prowadzi przez pogłębianie szacunku dla zjawisk szczegółowych, przez krzewienie umiejętności analizy, przez mądrą „rezygnację" pisarza, który powinien w opisywanym przez siebie zjawisku zajmować się jak najskrupulatniej i jak najwnikliwiej wewnętrzną jego prawdą i strukturą. Nie zawsze

(Dokończenie na str. 8)

Z OKAZJI ŚWIĄT BOŻEGO NARODZENIA

NASZYM PRZYJACIOŁOM, SYMPATYKOM I CZYTELNIKOM

SERDECZNE ŻYCZENIA WSZYSTKIEGO CO DOBRE —

PRZESYŁA REDAKCJA

Reiner Maria RILKE

Poemat Nocy Betlejemskiej

Zwiastowanie

Nie stoisz bliżej Boga niźli my;
my Jemu tak dalecy.
Lecz tobie cud łaskami skrył
błogosławione ręce.
I któraż z niewiast takie ma
promienne poprzez welon:
Ja jestem dzień, ja jestem łza,
ale ty jesteś drzewo.

Znużył mnie lot, dal wielka dróg.
Wybacz mi, zapomniałem
o czym Ten, w chwale złotych smug
siedzący niby w słońcu samym
obwieścić kazał tobie, śniącej
(jak wichr spadało niebo)
Spójrz: Jam jest rozpoczynające,
Ty jednak jesteś drzewo.

I roztoczyłem skrzydeł krąg
stając się tak daleki;
i oto spływa nad twój dom
szat moich obłok wielki.
A jednak tak samotnaś jest
i mnie dostrzegasz ledwo.
To znaczy: Jam jest leśny wiew
ty jednak jesteś drzewo.

Anioły ulatują w dal
przejęte wszystkie lękiem:
Nigdy pragnienie ani żal
nie były takie wielkie.
Może się spełni wkrótce już
co tylko w snach widziałaś,
zdrowa mi bądź — przeczuwa duch,
gotowaś już — dojrzała.
Bo tyś jest brama naszych snów
co wkrótce się rozewrze.
Wiem, ginie siejba moich słów
w tobie jak w gęstwie leśnej.

Przybywam.. I tysięczny sen
wypełni ci się w dzieło.
Dojrzał mnie Pan: i olśnion jest...

Ty jednak jesteś drzewo.

Narodziny Chrystusa

Jeślibyś nie była ciszą — jak więc
zdałoby ci się, że noc to szept.
Popatrz. Bóg nad ludem groźny władca
w tobie na świat tak łagodnie zszedł.

Czyż sądziła że On większy jest?

Czym jest wielkość. Ponad wszelkie miary.
On przenika, prosty znacząc szlak.
Żadna z gwiazd tej drogi nie zna nawet.
Na tych królów dumną wielkość patrz,

gdy przynoszą tu przed twoją twarz

skarby, które mają najwspanialsze.
Dziwisz się, być może, darom tym,
jednak, patrz, jak w fałdach twego płaszcza
ponad wszystko piękność jego lśni.

Wszelka ambra pachnąca ze skrzyń

złote cacka i kadzideł ziarna
biją w zmysły, jak zawrotny dym.
Jakże krótki blask ich, tylko marna
żałość w końcu, skruchy drobne łzy.

Lecz on śle (czy widzisz?) uśmiech im.

Zwiastowanie pasterzom

Powstańcie męże, mężowie przy ogniach,
wy, którym niebo bezgraniczne znane,
stróże gwiazd, do mnie! Spójrzcie, jam jest nowa
wschodząca gwiazda. Jakże duch mój pała
i promienieje wkrąg i tak ogromnie
pełen jest światła. że głąb firmamentu
nie starczy mi. Chcę, żeby światło głębiej
do istnień waszych szło; ciemne spojrzenia
o, serca ciemne, nocne przeznaczenia
wypełniające was. Jakże bezdomny,
pasterze, mieszkam w was. Świat rośnie wokół,
a więc nie dziwcie się: drzewo chlebowe
rzuca przed siebie cień do mnie podobny.
Niebojaźliwi, gdybyście wiedzieli
jak blask na waszych zapatrzonych twarzach
tli się przyszłości. I w tym świetle śmielej
spełnia się czas, więc wieść tę wam powtarzam
bo nie mówicie nic; po prostu wiernym
zwierza się wszystko. Ognia żar i deszcze
i ptaków lot i wiatr i życie wreszcie
nic to nie waży, aby wzbić się w dumę
sytości. Nie zamkniecie
świata we wnętrzu klatek waszych piersi
by go umęczyć tam. Bo tak jak szczęście
poprzez aniołów płynie tak i przez was
przepływa ziemskość. Więc gdy krzew cierniowy
rozgorze nagle — może wynijść zeń
Przedwieczny, nawołując was: aniołów cień
kiedy stąpają tuż przy waszych trzodach,
wonczas padacie na twarz w uniesieniu
modlicie się, to wszystko zowiąc ziemia.

Lecz to już było. Teraz nowe jest —
Od wieści tej krąg ziemski się rozszerzy.
Cóż nam ognisty krzew! Bóg zbudził się
we wnętrzu panny. A ja odblask jestem
jej wnętrza, który ku wam bieży.

Spoczynek podczas ucieczki do Egiptu

Którzy oto w ucieczce bez tchu
umykali się dziecięcej rzezi
jakże bardzo wyrośli nad tłum,
gdy wędrówką chcieli świat przemierzyć.

Ledwo że w płochliwym wstecz spojrzeniu
przerażenia trud rozwiewał się,
a już ich szarego muła cieniem
miasta tknięte znowu budził lęk.

Choć tak mali pośród wielkich krain,
niby źdźbło, gdy pod mur świątyń szli
w proch się pyszne bóstwa rozpadały
tracąc nagle odblask myśli złych.

Czy uwierzyć można. że na przeciw
wszystko biegło im ciemne i złe?
Aż się sami siebie wreszcie zlękli,
tylko dziecię śmiało się, przez sen.

Mimo to musieli choć na chwilę
spocząć w drodze. Wtedy ku nim szło —
popatrz: drzewo. głęboko się chyląc
jak służący czujny na ich głos.

I skłoniło się. wybrane z drzew
co korona zmarłym faraonom
na wieczyste sny chroniło czoło —
kłoniąc się. pragnęło wieńcem nowym
kwitnąć. I siedzieli niby w śnie.

Anioł stróż

Ty jesteś ptak, który skrzydłami płynął
kiedym cię. nie śpiąc, wzywał poprzez noc,
wołając dłońmi tylko, bo twe imię
jest niby przepaść — wszystkich nocy głąb.

Ty jesteś cień. W nim cicho usypiałem,
a każdy sen — twój mnie znaczony siew,
ty jesteś obraz, a ja jestem ramą
co chwale twej ma dopełnienie nieść.

Tyś często mnie z ciemnego snu wyrywał,
gdy mi się spanie zdało niby grób,
jak zatracenie, jak ucieczki sygnał. —
Dźwigałeś mnie z ciemności mej wewnętrznej
by zatknąć mnie na miasta każdej wieży,
szkarłatny sztandar wiejący na wietrze.

Ty co o cudzie mówisz jak o znanym,
o ludziach znowu tak jak o muzyce,
o różach: jak o dokonanym
co płonie w twym spojrzeniu jak w rozkwicie.

Błogosławiony, kiedy nazwiesz Tego.
z którego wszystkich dni i dnia siódmego
wciąż jeszcze blask na skrzydeł twych trzepocie
zgubiony tli.

Każesz bym pytał o to?

przełożył MIKOŁAJ BIESZCZADOWSKI

NOTKI KULTURALNE

Światowa Rada Pokoju postanowiła w ramach międzynarodowego zbliżenia kulturalnego uczcić stulecie śmierci Gogola, 500-lecie śmierci Leonarda da Vinci i 1000-lecie Aviseniusza oraz 150-lecie śmierci wielkiego pisarza Wiktora Hugo, które przypadają w roku 1952.

×

W grudniu br. została przyznana jedna z najbardziej znanych nagród literackich we Francji tzw. „Prix Goncourt". Otrzymał ją Julien Gracq za powieść pt. „Le rivages de Syrtes" (Brzegi Syrty).

Jednocześnie została przyznana nagroda „Theophraste-Renaudot" za książkę „Die nu" (Nagi Bóg) Robertowi Margerit.

×

W Lyonie został otwarty 24 Salon du Sud-Est, zorganizowany przez Unię Regionalną artystów plastyków.

Wystawiono 60 dzieł sztuki najlepszych reprezentantów lońskiej szkoły.

×

Komitet filmowy parlamentu w Bonn podał następujące warunki współpracy artystów pracujących obecnie w NRD, bez przyjęcia których nie będą mogli otrzymać engagement w Niemczech Zachodnich:

1. Wypowiedzenie się przeciwko ustrojowi komunistycznemu w piśmie Niemiec Zachodnich o największym nakładzie.

2. Złożenie przyrzeczenia nie grania w filmach nakręcanych przez DEFA.

3. Przyjęcie natychmiastowego engagement do filmu antykomunistycznego, nakręcanego w Niemczech Zachodnich.

×

W Chinach Ludowych nakład „Nędzników" Wiktora Hugo osiągnął cyfrę 5 milionów egzemplarzy.

×

Według statystyk opublikowanych przez rząd meksykański w Meksyku na 6.352.000 dzieci w wieku szkolnym do szkół uczęszcza tylko 2.929.290.

×

Charle Chaplin powziął decyzję sprzedania swoich studiów w Hollywood. Sprzedaż nastąpi po realizacji obecnie nakręcanego filmu pt. „Limelight". Studia Chaplina prawdopodobnie zostaną zamienione na studia telewizyjne.

×

W Indiach w roku 1952 odbędzie się festiwal filmowy, w którym weźmą udział państwa demokracji ludowej.

×

Na ekranach kin radzieckich ukazał się nowy dokumentarny film kolorowy pt. „Radziecki Uzbekistan" w realizacji L. Stepanowa i Z. Sawitowa.

×

Pierre Fresnay został nagrodzony przez kinematografię włoską złotą wstęgą za najlepszą interpretację roli męskiej w filmach zagranicznych. Jest to rola w filmie „Dieu a besoin des hommes". Tytuł najlepszej aktorki zagranicznej został przyznany Glorii Swanson za rolę w filmie „Sunset Boulevard". Za najlepszy film włoski wyprodukowany w roku 1951 uznano film „Jego Wysokość pan Dupon". Za najlepszego aktora włoskiego został uznany Fabrizi. Anna Maria Pierageli za najlepszą aktorkę. Najlepszym filmem krótkometrażowym jest „Noturno" Vittoria Sala.

×

Znany reżyser czechosłowacki B. Zeman nakręca obecnie film dla dzieci pt. „Dumna księżniczka".

×

W Moskwie przy centralnym domu pracowników sztuki zorganizowano orkiestrę symfoniczną składającą się wyłącznie z profesorów szkół muzycznych.

Wanda PIEŃKOWSKA

O UŚMIECH DZIECIŃSTWA

RATUNKUUU! Trzymajcie ich, łobuzów przeklętych, łajdaków, smarkaczy...

Cicha, odludna ulica napęczniała rozpaczliwym krzykiem starego człowieka, który miotał się bezradnie po chodniku obok przewróconego kosza, wyławiając jedną ręką rozrzucone w błocie bułki drugą wygrażając uciekającej zgrai chłopaków.

W kilka minut później, do pobliskiego komisariatu przyprowadzono jednego z „przestępców". Miał lat około dziesięciu. W brudnej ręce mocno ściskał zjedzoną do połowy bułkę, rzucając spod gęstych rzęs zastraszone, ukradkowe spojrzenia. Był najmłodszy z całej bandy, najmniej sprytnie uciekał, od dwóch dni nie jadł.

Przesłuchanie — ojciec pijak, matka — prostytutka, mieszkanie pod mostem — areszt, sąd dla nieletnich, dom poprawczy.

Typowy pół-finał historii typowego dziecka ulicy, jakich przed wojną było u nas wiele. Z takich dzieci, po przejściu przez twarde tryby domu poprawczego, najczęściej wyrastali albo prawdziwi przestępcy, albo ludzie o spaczonych charakterach, z kompleksem niższości, ludzie, którzy nie mogli później znaleść miejsca w społeczeństwie.

SPRAWA wychowania dziecka i opieki nad nim stoi dziś w rzędzie naczelnych zagadnień społecznych. Tysiące powstających żłobków, dziecińców, przedszkoli, domów dziecka, zakładów wychowawczych, młodzieżowych domów kultury i świetlic — świadczą o tym najbardziej konkretnie i przekonująco Całokształt zagadnienia można, zgrubsza biorąc, podzielić na trzy części: 1. Opieka całkowita w wypadku sieroctwa czy pół-sieroctwa (domy dziecka, zakłady wychowawcze), 2. Opieka częściowa, obejmująca czas pracy rodziców (żłobki, przedszkola, świetlice, domy kultury) i 3. Opieka czasowa, w wypadkach dzieci tzw. trudnych (zakłady wychowawcze typu specjalnego, zakłady obserwacyjne Głównej Poradni Zdrowia Psychicznego).

Każda z tych trzech części jest problemem sama w sobie. Z uwagi na dużą ilość sierot wojennych, z uwagi na fakt, że obecnie w większości wypadków oboje rodzice pracują, oraz ze względu na smutne pozostałości psychiczne nienormalnych warunków życia dzieci w okresie okupacyjnym i niedostateczne jeszcze uświadomienie wychowawcze społeczeństwa — znaczenie ich jest równorzędne.

OPIEKA CAŁKOWITA

TAK często dawniej spotykany typ zakładu wychowawczego o charakterze „dobroczynnym" (czytaj: z łaski), gdzie dziecko uważane było zwykle za nieuniknioną wprawdzie, ale też najgorzej traktowaną i najnieznośniejszą część inwentarza — dziś znikł na szczęście z naszego życia. Podstawowym czynnikiem wychowania stało się wpojenie w dziecko świadomości, że jest pełnowartościowym i odpowiedzialnym członkiem małej społeczności zakładu, że sprawy ogólne są jego sprawami i odwrotnie — jego troski i radości życia interesują ogół tak kolegów, jak i wychowawców.

Doskonałe wyniki, jakie osiąga się tą metodą, widoczne są na każdym, pierwszym z brzegu przykładzie, zaczerpniętym z życia na chybił-trafił wybranego zakładu.

W Zakładzie Wychowawczym dla Chłopców św. Andrzeja Boboli w Strudze, przebywa 100 wychowanków, przeważnie pół-sierot, kierowanych tu przez Woj. Wydział Oświaty P.R.N. Element bardzo różnorodny, w wieku od 7 do 18 lat, niejednokrotnie przybywający do Zakładu z mocnym postanowieniem „nie dania się". Opinie dołączone do ich króciutkich życiorysów często dały by się streścić w trzech słowach: łobuziak czystej wody. Jest jednak rzeczą stwierdzoną, że dziecko, które ma czynną postawę wobec życia, postawę przejawiającą się w braku odpowiedniego kierunku właśnie „łobuzowaniem się" — przy umiejętnym i serdecznym podejściu zawsze wyrasta na wartościową jednostkę.

Warunki życia w Zakładzie — o ile nie liczyć wysokiej kaloryczności pożywienia — są raczej skromne. Nikt nie przychodzi tu do gotowych, wyposażonych we wszystko pomieszczeń. Każde nowe osiągnięcie, czy to będzie wykańczana obecnie duża sala świetlicy, czy oprawienie książek w bibliotece, lub pomalowanie ścian sypialni w nowe desenie — wszystko jest dziełem wspólnego wysiłku wszystkich głów i rąk, nawet tych najmniejszych. Chłopcy biorą też czynny udział w administracji zakładu, załatwiają różne sprawy nazewnątrz, słowem, oprócz nauki i szkolenia zawodowego (szewstwo, krawiectwo, galanteria skórzana) wynoszą z Zakładu także pełne przystosowanie do samodzielnego życia w społeczeństwie.

Aby ocenić stosunek wychowanków do Zakładu, wystarczy przejść przez teren w towarzystwie paru chłopców. Andrzejek M. — jeden z najmłodszych — stawiając długie kroki i wpychając piąstki do kieszeni wielce połatanych porciąt — po gospodarsku zagląda we wszystkie kąty.

— Właśnie wczoraj przywieźliśmy węgiel — zwierza mi się za zmarszczonym czołem — myślę, że teraz chyba wystarczy nam już na całą zimę... — niebieskie oczy siedmioletniego urwisa patrzą z rozwagą świadomego swych obowiązków ojca rodziny. (Po chwili obserwuję go, jak z radosnym piskiem usiłuje wsadzić koledze za kołnierz piękny okaz pustego kłosa pszenicy).

Starszy z moich towarzyszy z pobłażliwym uśmiechem patrzy na te figle. Gabriel kończy już szkołę podstawową, uczy się szewstwa, a ponadto prowadzi dział odzieżowy Zakładu, będąc jednym z najbardziej czynnych wychowanków. Poza tym, podejście jego do młodszych kolegów odznacza się wybitnymi walorami pedagogicznymi. A zaledwie pięć lat temu pochmurny i najeżony Gabryś, przekraczając pierwszy raz próg Zakładu powtarzał uparcie przez łzy: „Choćby mnie tu posiekano — nie będę grzeczny!"

Ze wzruszającą dumą Gabriel pokazuje skromne pokoje sypialne chłopców, niedawno własnoręcznie przez nich pomalowane w nieco krzywe miejscami desenie, dużą salę świetlicy wykańczaną z wielkim zapałem przez wszystkich pospołu, gazetkę ścienną, opowiadającą o zdarzeniach na dalekim świecie, w bliskim kraju i na terenie Zakładu. Oczy Gabriela błyszczące zza grubych szkieł okularów mówią wyraźnie: może to i nic nadzwyczajnego, może ktoś widział ładniejsze desenie, ciekawsze gazety, wspanialsze świetlice, ale dla nas tu jest najpiękniej, bo to nasz własny DOM.

OPIEKA CZĘŚCIOWA

WOBEC tego, że w obecnej strukturze społecznej w większości rodzin pracuje i ojciec i matka — niezmiernie ważnym zagadnieniem stało się dostateczne zagęszczenie sieci żłobków i przedszkoli dla dzieci małodszych, oraz świetlic i domów kultury dla młodzieży. Nie do pomyślenia jest dziś powstanie nowego osiedla bez co najmniej jednego żłobka i przedszkola. Na dworcach kolejowych dzieci dojeżdżające do szkół coraz częściej znajdują ciepłe pomieszczenia, gdzie — odizolowane od złych wpływów — mogą, czekając na pociąg, odrobić lekcje. Po wsiach otwiera się coraz nowe dziecińce, szybko zdobywające uznanie i wdzięczność nieufnych początkowo matek chłopskich i ograniczające ilość nieszczęśliwych wypadków wśród najmłodszych dzieci wiejskich do minimum.

W wielkich miastach, rodzice wciągnięci w wir zajęć dnia powszedniego, w krótkich chwilach oderwania się od ołówka, kielni, młota, kierownicy, czy skryptu — z niezmierną ulgą wracają do uspokajającego wspomnienia uniesionych rankiem, przy ostatnim spojrzeniu przez szyby, obrazków:

Kilkanaścioro niemowląt leży w czystych łóżeczkach, przebierając w powietrzu różowymi kończynami. Czyż może być bardziej interesująca zabawka niż noga? Rusza się, jest ciepła, mięciutka, nikt nie może jej odebrać.

Obok, u raczkujących, ruch panuje ogromny. Jedne osoby spieszą wzdłuż barierki kojca, napotykając po drodze szereg trudności i przeszkód, inne posuwają się naprzód po prostu siedząc, a są i takie, które dążą naprzełaj systemem czworakowym.

Wśród średniaków istnieją już wyraźne sympatie i antypatie. Tu zawiera się pierwsze przyjaźnie, stacza pierwsze boje. Co za szczęście, że miś w ręku czupurnego blondynka jest miękki — inaczej guz na ciemnej głowinie najbliższego sąsiada był by nieunikniony.

Najstarsze dzieci utworzyły roztańczone kółko. Śmieją się buzie, oczy, podskakują wesoło czuprynki. Z za szyby dolatują słowa piosenki o Warszawie.

Każdy z tych obrazków żłobkowych ma wspólny wszystkim znak: biało ubraną postać opiekunki — symbol bezpieczeństwa.

OPIEKA CZASOWA

TA trzecia forma opieki roztaczanej nad dzieckiem przez Państwo dotyczy dzieci tzw. trudnych, psychotycznych. Zagadnienie to z jednej strony sięga do jądra najmniejszej komórki społeczeństwa — rodziny, z drugiej zaś wybiega daleko w przyszłość, obejmując ogół społeczeństwa i włączając się w jego życie jako czynnik istnieniem swoim hamujący normalny rozwój.

Przede wszystkim musimy zdać sobie sprawę, że większość psychoz dziecięcych, nerwic itp., o ile nie jest wynikiem jakiegoś nagłego wstrząsu, przeważnie ma swoje źródło we wpływie środowiska. Czasem będą to złe stosunki między rodzicami, kłótnie i bijatyki w domu, czasem zmiana odnoszenia się rodziców do dziecka z chwilą przyjścia na świat drugiej pociechy, czasem po prostu niewłaściwe traktowanie dziecka. Przyczyn jest wiele i to różnorodnych. Oczywiście zdarzają się również wypadki, odchyleń od normy pomimo dobrych warunków w domu, kiedy usilne starania rodziców i lekarzy nie są w stanie na dzisiejszym stopniu wiedzy medycznej przynieść zdrowiu psychicznemu dziecka istotnej poprawy.

Delikatny organizm dziecka jest w stadium rozwoju niezmiernie podatny na wszelkiego rodzaju wstrząsy psychiczne i wpływy otoczenia i — nie mając wyrobionej odporności, którą człowiek dorosły umie się, instynktownie nieraz, obronić — ulega łatwo, w wyniku czego dziecko staje się dzieckiem nieznośnym, trudnym do prowadzenia. Niestety, zbyt często i zbyt łatwo używamy tych określeń, zwalając winę za takie, czy inne właściwości dziecka na nie samo, nie rozumiejąc naszego własnego udziału w zmianach jego charakteru i usposobienia.

Te zawikłane i często niełatwe do wykrycie przyczyny wysupływane są z wielką cierpliwością przez personel zakładów obserwacyjnych dla dzieci psychotycznych Głównej Poradni Zdrowia Psychicznego. Lekarze — psychiatrzy, psycholodzy, pedagodzy i wychowawcy w ścisłej współpracy ustalają diagnozę, przeprowadzają różnorakie obserwacje dziecka podczas nauki i zabawy, stosują najnowsze metody leczenia, z najpomyślniejszymi w większości wypadków skutkami i... tu trafiamy w sedno sprawy: dziecko, które pod wpływem leczenia i specjalnie pogodnej, przyjaznej i spokojnej atmosfery zakładu doszło do równowagi psychicznej — powraca najczęściej znów pod wpływy środowiska, które wywołało chorobliwy stan.

W Polsce za mało jest jeszcze zakładów specjalnych, zakładów, w których można by — oddzielając dzieci trudne od nerwicowych, nerwicowe od psychotycznych, psychotyczne od psychopatycznych — zapewnić każdej grupie odpowiednią opiekę na dłuższy przeciąg czasu i umożliwić przez to dzieciom bądź całkowity i trwały powrót do normy, bądź, jeśli to jest w jakimś wypadku niemożliwe, stworzyć najlepsze warunki ich smutnego bytowania.

Brak odpowiednich zakładów wpływa w konsekwencji na powiększanie zastępu ludzi wykolejonych, nie mogących w pełni wykorzystać swoich, niekiedy wybitnych, zdolności i powoduje niepowetowane straty w materiale ludzkim. Wobec nasilenia po ostatniej wojnie ilości dzieci psychotycznych — sprawa stworzenia dostatecznej liczby zakładów winna być postawiona w jednym rzędzie ze sprawami otwierania nowych żłobków i przedszkoli.

Z PIERWSZĄ GWIAZDĄ

WZMOŻONA opieka Państwa nad dzieckiem i troska o jego wychowanie nie zwalnia jednak absolutnie samego społeczeństwa z jego obowiązków wobec najmłodszych członków narodu. I nie mam tu na myśli takich czy innych świadczeń na rzecz dziecka w postaci, np.: pracy społecznej, ale sprawę sięgającą o wiele głębiej. Chodzi o nasze odnoszenie się do dziecka — zarówno własnego, jak i cudzego — w tysiącznych drobnych sprawach dnia powszedniego.

Wiele się mówi o wadze przykładu, jaki w wychowywaniu dziecka winni dawać swoim postępowaniem rodzice, czy opiekunowie w życiliwości w stosunku do dziecka. Jednakże, rozumiejąc w pełni wychowawczą rolę rodziny i szkoły, żłobka, czy zakładu — nie doceniamy kolosalnej roli całego społeczeństwa, jako zbiorowego wychowawcy na ulicy, w sklepie, tramwaju, we wszystkich przejawach życia społecznego. Pobłażając swoim złym humorom, wygodnictwu, egoizmowi, tolerując niewłaściwe postępowanie z dzieckiem u swoich bliźnich, na każdym kroku z pogodną bezmyślnością przyczyniamy się — pośrednio, czy bezpośrednio — do krzywdzenia i paczenia delikatnej duszy dziecka.

Dziś, kiedy na niebie ma się ukazać pierwsza gwiazda, zwiastująca Narodziny Boskiego Dzieciątka, zastanówmy się głębiej i naprawdę krytycznie nad naszym stosunkiem do dziecka. Bo pragnąc wychować nowego, lepszego człowieka, który będzie umiał w mocnych dłoniach utrzymać chorągiew pokoju i czynnie realizować przykazanie: „Kochaj bliźniego swego, jak siebie samego" — musimy podejść do tego zadania nie tylko z pełnią miłości i zrozumienia dziecka, ale też uzbrojeni w najcenniejszą i najszlachetniejszą broń — opanowania siebie i dyscypliny wewnętrznej.

Wanda Pieńkowska

ZE STAREGO KANCJONAŁU

KIEDY SŁYSZĘ NA OBŁOKACH ANIELSKIE ŚPIEWANIE

Kiedy słyszę na obłokach Anielskie śpiewanie,
zdumiewam się i pytam się, co to jest, mój Panie?
Aż mi miłość odpowiada Twa zbyteczna, Boże,
iże Syn Twój, Bóg wcielony, w stajni ma swe łoże.

Kędy członki święte sianem ostrem przyodziewa,
a mróz i wiatr bardzo przykry zewszad go przewiewa:
idę bliżej ku stajence, widzę, iże sobie,
dosyć w lichym, bo w bydlęcym tron założył żłobie.

Wół i osioł parą swoją coś go niby grzeją,
a z Dzieciny łez strumienie obfite się leją:
Józef z Matką ubolewa, widząc nowe dziwy,
że z bydlęty wespół leży Pan i Bóg prawdziwy.

Nigdy nie była słychana ludziom ta nowina,
że niezmierny stał się dla nich teraz Bóg Dziecina:
cóż Cię, Panie, sprowadziło do tak lichej doli?
Twoja miłość, byśmy wyszli z czartowskiej niewoli.

KOLĘDA

1. *Gore gwiazda Jezusowi*
w obłoku, w obłoku,
Józef z Panną assystują
przy boku, przy boku.

Hejże ino,
dyny dyna,
Narodził się
Bóg Dziecina
w Betleem.
w Betleem!

2 *Wół i osieł w parze służą*
przy żłobie, przy żłobie,
huczą, huczą delikatnej
osobie, osobie.

Hejże ino,

3. *Pastuszkowie z podarunki*
przybiegli, przybiegli.
wkoło szopę o północy
oblegli, oblegli.

Hejże ino,

4. *Anioł Pański sam ogłosił*
te dziwy, te dziwy,
których oni nie słyszeli,
jak żywi, jak żywi.

Hejże ino,

5. *Anioł Pański kuranciki*
wycina, wycina,
stąd pociecha dla człowieka
jedyna, jedyna.

Hejże ino,

6. *Już Maryja Jezuleńka*
powiła, powiła,
nam wesele i pociecha
stąd miła, stąd miła.

Hejże ino,
dyny dyna,
Narodził się
Bóg Dziecina
w Betleem,
w Betleem!

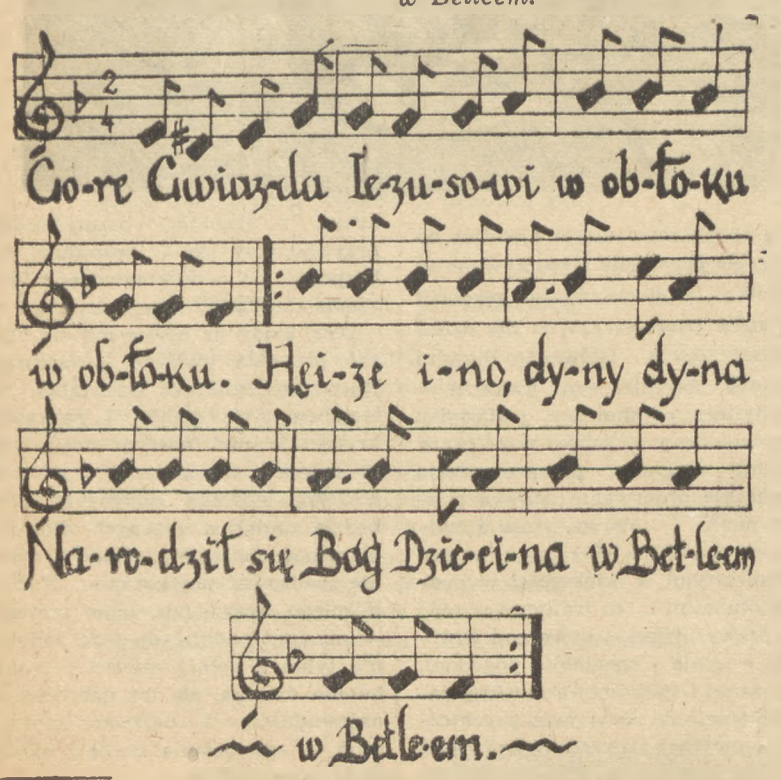

Wybrał J. Kawecki, z „Pastorałek i kolęd z melodiami" x M.M. Mioduszewskiego, wyd. w Krakowie u Stanisława Cieszkowskiego, 1843.

Przed nowymi zadaniami

przecież trzeba pisać summy. Nie zawsze w dziele literackim ma się odbijać cały program społeczny i polityczny Polski Ludowej. Jeśli pisarz rzetelnie przedstawi wciągający go problem, problem ten zawsze będzie symbolem, zawsze stanowić będzie artystyczną pars pro toto. Bo taka jest wewnętrzna, dialektyczna zależność wszystkich zjawisk w naszej rzeczywistości. Nie są one przypadkowym zlepkiem, nie są mozaiką, lecz logicznym ciągiem przyczyn i skutków, który głębią swej analizy rozszerzy naszą wiedzę o jednym ze zjawisk, musi tym samym rozszerzyć naszą wiedzę o całej rzeczywistości.

W konkretnym analitycznym procesie twórczym uniknie twórca błędów powierzchownej syntetyczności, uniknie grzechów symplifikatorstwa, odsunie od siebie niebezpieczeństwo pośpiesznych, spłycających prawdę uogólnień. Jego dzieło wtedy będzie dziełem dojrzalszym, zarówno pod względem ideologicznym jak i artystycznym.

Stawiając ten problem nie wyczerpuję oczywiście całości zagadnienia powojennej prozy polskiej. Mam wrażenie jednak, że poruszam problem węzłowy, problem zasadniczy, wobec którego wszystkie inne, są pochodnymi.

Równie ważny problem stoi przed polską poezją współczesną. Pisano wielokrotnie o jej ważnych zadaniach i nie będę tu przypominał ogromnej funkcji społecznej, jaką ona spełnia w naszym życiu kulturalnym. Wszyscy wiedzą doskonale, że ma ona w języku artystycznych wzruszeń wyrażać prawdę naszego czasu i za pośrednictwem doznań estetycznych rozszerzać naszą wiedzę o prawach rządzących rzeczywistością. Wszyscy zdają sobie doskonale także sprawę z tego, że zadań tych poezja spełniać nie będzie jeśli — przestanie być poezją.

Nad wszystkimi osiągnięciami polskiej poezji współczesnej ciąży cień jednego, zasadniczego — moim zdaniem — niebezpieczeństwa. Niebezpieczeństwo to polega na uproszczonej pedagogice oddziaływania poetyckiego. Wśród polskich poetów współczesnych brak tego, co nazywam heurezą poetycką. Poeta musi oddziaływać na swojego odbiorcę nie gotowymi formułami określania rzeczywistości, nie zamkniętymi w sposób ostateczny postulatami czy opisami, nie podaną do wierzenia sumą poetyckich dogmatów, ale przede wszystkim wciąganiem odbiorcy w krąg złożonych wzruszeń i problemów, które pytajnikami będą zmuszały do odpowiedzi wyrastającej w twórczym trudzie współdziałania odbiorcy z twórcą. Tymczasem poezja współczesna nie zostawia w sobie żadnego miejsca dla czytelnika, nie stwarza koniecznego luzu, który jest niezbędny dla właściwego przyjęcia zaproponowanej przez twórcę materii poetyckiej.

To łączy się oczywiście z tym wszystkim, co nazywamy sloganowością, kawcławizmem czy transparentyzmem współczesnej poezji. Łączy się to także z uproszczoną wizją świata, z uproszczoną wizją epoki. Wiemy wszyscy, że jest to epoka heroicznych wysiłków, epoka maksymalnych napięć, wydobywających nowe wartości z człowieka. Wiemy, że wiedza o narodzinach tej epoki nie zawsze jest wiedzą radosną. Dlatego razi w poezji współczesnej brak wiedzy gorzkiej. Nie chodzi tu oczywiście o malkontenctwo, nie chodzi o zwykłe bęcwalenie się, ale o odważne spojrzenie na złożoność rzeczywistości. Tej odwagi poetom współczesnym nie [illegible]. Ciągle jeszcze nie chwytają oni [illegible] pro-

(Dokończenie ze str. 5)

porcji w ukazywaniu prawdziwej dynamiki naszego przełomu. Historyk, który na podstawie globalnego oglądu polskiej poezji współczesnej ustalałby kiedyś sąd o naszych dniach, mógłby dojść do wniosku, że były to dni tylko radosnej sielanki, tylko entuzjastycznego zrywu, tylko bezbłędnie zorganizowanego optymizmu. Dlatego w świadomości poetów współczesnych wzrosnąć musi zrozumienie dla poznawczego waloru gorzkiej wiedzy, która radości zwycięstwa nada dopiero właściwy sens.

Spodziewać się można, że usunięcie tych braków stanie się przyczyną wzmożonych dążeń ku artystycznej dojrzałości, ku artystycznej pełni działania poetyckiego.

Uważam to za główny problem poezji współczesnej. Oczywiście, nie jest to problem jedyny. Wszystkie inne skłonny jednakże jestem uważać za pochodne.

Stawiając te problemy, widzę potrzebę wskazania nie tylko wspomnianych powyżej filozoficznych, metodologicznych, ale także historyczno-literackich przyczyn. Literatura współczesna przeżywa inwazję młodych talentów. Młodzi twórcy wstępują na arenę działania pisarskiego w okresie dokonywania ostrej rewizji tradycji literackich. Szczególnie ostre osądy, z jakimi się spotkał zwłaszcza dorobek generacji międzywojennej, sprawiły, że zlekceważono wartości tego dorobku, zerwano gwałtownie więź łączącą nas z literaturą przedwrześniowego dwudziestolecia. Mamy tu do czynienia z kardynalnym uproszczeniem. Oczywiście, jest rzeczą jasną, że literatura polskiego faszyzmu i kapitalizmu niosła w sobie potworne błędy fałszywej koncepcji sztuki, fałszywego widzenia i rozumienia rzeczywistości. Ale już dzisiaj jest jasne, że nie można odrzucać wszystkich osiągnięć pisarzy tamtego okresu. Wiadomo nam, że krytycy potępiający ten okres w czambuł wycofują się już ze swoich stanowisk. Toczą się obecnie prace nad rewindykacją zlekceważonych wartości kulturalnych okresu międzywojennego. Nie widać tego jednak w konkretnej pracy twórców współczesnych. Wydaje mi się, że umiejętne, na mądrej selekcji oparte nawiązanie do zdrowych tradycji artystycznych minionego okresu, wzbogaciłoby doświadczenie pisarskie nowego aktywu literackiego.

Być może, są to sugestie, które okażą się niedostatecznie uargumentowane. Jedno jest pewne: w najbliższym czasie warto uwagę skupić nie tyle na omawianiu ostatnich nowości wydawniczych, które, o ile domyślać się można, będą szły po linii ustalonych do tej pory tendencji, ale przede wszystkim pokusić się trzeba będzie o retrospektywne spojrzenie na dorobek pisarski wybitnych twórców okresu dwudziestolecia, zarówno tych, którzy uczestniczą w dzisiejszych przemianach, jak i tych, którzy się albo wycofali albo odeszli w zapomnienie.

Nawet gdyby omówienia te ilościowo przeważały nad omówieniami pozycji, które przyniesie nam przyszły rok, obrachunki z ich prawdą ideowo-artystyczną czy ideowo-artystycznymi zafałszowaniami pozostaną obrachunkami ze współczesnością.

Zygmunt Lichniak

Józef SZCZAWIŃSKI

Apostrofy wigilijne

Któryś znał tylko chłód kamienia
i szorstkość siana —
Spraw aby żadne dziecko
nie zaznało chłodu w Noc Narodzin.

Który błogosławiłeś
rówieśnym Ci męczennikom —
Spraw aby żadne dziecko
nie zginęło z ręki człowieka.

Któryś obarczył ramiona Matki
najwcześniejszym przeczuciem swojej śmierci —
Spraw aby żadna z matek
nie dźwigała konania dziecka.

Któryś najdotkliwiej poczuł
przestrzeń tułaczki —
Spraw aby w oczach
żadnego dziecka
nie utrwalił się pożar domu.

Któryś uśmiechał się do zwierząt
pasterzy i mędrców —
zamknij nasze serca
na każdą nienawiść
prócz nienawiści krzywdy.

Któryś poczuł trud niemowlęctwa —
spraw aby przyszłość naszych czasów
była tak wielka
jak trudnymi są ich narodziny.

* * *

Pod jednym z wielu drzew
zakopaliśmy dzieciństwo,
któż zdoła je odszukać? —
jednakowy jest zapach liści.

Nie łatwo przez ciemny przejść pokój
gdy zgasła ostatnia zapałka.
Nasze lata bardziej wypełnione
zagubionymi barwami,
niż dziecinny pokoik o zmroku.

Pozbawionym wyboru
między nieistnieniem
a dniem w słońcu i w deszczu —
trudno odetchnąć powietrzem
niepodarowanych godzin.

Dziecino mądrzejsza o wieczność,
której Boskość w wyborze Narodzin,
pomóż znaleźć drzewko dzieciństwa
i połóż nam pod choinką
pudełko niegasnących zapałek.

Tadeusz NUCKOWSKI

O „SYMFONIACH ANIELSKICH"

WŚRÓD polskich pieśni kościelnych największą popularność i żywotność wykazują kolędy. Stanowią one bogaty i poważny dział twórczości, która narastała w ciągu długich wieków.

„W duchowym skarbcu każdego narodu kulturalnego obok klejnotów pierwszorzędnych znajdują się zazwyczaj i kamienie mniejszego blasku, nie tak świetne, a jednak przez ten naród wysoko cenione; łączy się z nimi znaczne pretium affectionis. Tak w skarbcu polskim obok „Pana Tadeusza" i „Króla Ducha", obok polonezów i mazurków szopenowskich, mamy kolędy. Nie tak genialne, nie tak wspaniałe... a jednak dziwnie przez naród ukochane i cenione... niektóre z nich, zwłaszcza francuskie, są także bardzo piękne i pociągające ku sobie. Ale chyba nigdzie te pieśni na Boże Narodzenie nie stały się czymś tak bardzo „narodowym", tak dziwnie przez cały naród ukochanym i pielęgnowanym jak w Polsce". (St. Dobrzycki „O kolędach", Poznań 1923 — „Wykłady Powszechne Uniwersytetu Poznańskiego" nr 1—2).

Aż dziwno, że dotychczas — poza popularnym (cytowanym właśnie) zarysem Dobrzyckiego, artykułami w czasopismach i omówieniami w niektórych historiach literatury czy publikacjach innego rodzaju — nie opracowano historii kolędy polskiej jako jednego z działów literatury. Tak samo nie pokuszono się o wydanie naukowego zbioru kolęd — z możliwym oznaczeniem ich autorów i czasu powstania.

W rozwoju polskiej hymnologii kolędowej szczególne znaczenie ma zbiorek, o którym będziemy tu mówić. Choć już stosunkowo wiele na jego temat napisano, przyjrzymy mu się jeszcze raz w nadziei, że może częściowo uda nam się dostrzec jakieś nowe rysy.

W roku 1913 w serii wydawniczej „Biblioteka Pisarzów Polskich i Obcych" (nr 65), wydawanej przez Polską Akademię Umiejętności, ogłosił Alfred Brodnicki „Symfonie anielskie Jana Karola Dachowskiego" (1631), zbiór 36 kolęd z XVII w. Nowsze badania (Piszczkowski, Krzyżanowski i in.) wykazały, że autorem jest nie Dachnowski, ale Jan Z. Żabczyc, poeta nadworny Mniszchów samborsko-sanockich i innych rodów, przeważnie małopolskich (Kotowskich, Gołuchowskich), poza tym autor poczytnych wówczas zbiorów aforyzmów i maksym, tłumaczonych nawet na język rosyjski.

Kolędy jako hymny kościelne na Boże Narodzenie istniały na Zachodzie od pierwszych niemal wieków chrześcijaństwa. Uprawiali je twórcy średniowiecznej hymnologii łacińskiej od Seduliusa (V w.) poprzez Filipa de Grevia (XIII w.) po anonimów XVII w. Siedemnastowieczne odznaczają się już tu i ówdzie (przejaw kultury barokowej) pewną modyfikacją motywów biblijno-teologicznych w kierunku zindywidualizowania lirycznego, nasycenia elementami wzruszenia, pieszczoty, a nawet wprowadzenia pierwiastków obyczajowych, jak np. Anonima z XVI czy XVII w. hymn „De Nativitate" zaczynający się od słów: „Dormi, fili, dormi", pełen tkliwości, uciszający Dzieciątko m. in. obietnicą... miodu prosto z ula.

PIERWSZE kolędy polskie (XV w.) to przekłady z czeskiego i łaciny. Mają one charakter czysto teologiczny. W ciągu w. XVI — pod wpływem działalności franciszkanów i wprowadzenia jasełek — zaczyna się oryginalna polska twórczość kolędowa, która ulega już pewnemu zabarwieniu lokalnemu, ale jeszcze nie wykracza poza ramy poważnej pieśni kościelnej.

Te pierwsze kolędy krążyły tematycznie wokół opowieści ewangelicznej. Z czasem z apokryfów i do kolędy zaczynają przenikać szczegóły pełne przedziwnych wydarzeń. Swoistemu i oryginalnemu przeobrażeniu uległa ta hymnologia w okresie baroku, gdy życie codzienne z wielką siłą wchodzi do literatury, gdy powstaje tzw. literatura mieszczańsko-ludowa, ciesząca się ogromnym powodzeniem jako pieśń popularna, nieraz wysoce nieprzyzwoita, w co musiały się wdać aż władze kościelne i umieścić je na indeksie.

Dawna kolęda hymniczna zawierała element pasterski, bo był on i w ewangeliach, a właściwie w Ewangelii św. Łukasza (II 8-20). Teraz jednak rozrasta się i polonizuje, wybija się zwolna na pierwszy plan. W ten sposób powstaje kolęda obyczajowa, tzw. pastorałka, z przewagą pierwiastków rodzimych, wytwór typowo polski (co do kolorytu i nasilenia zjawiska). Właśnie „Symfonie anielskie" (pierwsze znane nam dziś edycje: 1630, 1631, 1642) stanowią pod tym względem punkt zwrotny w historii kolędy polskiej. Jest to pierwszy zbiór zawierający wśród innych kolęd pastorałki, które potem święcą triumfy w „złotym okresie kolędy polskiej", tj. w w. XVII i w czasach saskich.

Za St. Dobrzyckim („O kolędach") szeregujemy kolędy w trzy główne grupy: 1) ewangeliczno-kościelne, 2) legendowo-apokryficzne, 3) obyczajowe czyli tzw. pastorałki. Gdy pod tym kątem widzenia rozpatrzymy kantyczkę Żabczycową, to na 36 pieśni w całości znajdziemy 23 kolędy kościelne, a 13 obyczajowych. W tym zestawieniu cyfrowym uwydatnia się przełomowy charakter omawianego zbioru. Zdobywający sobie prawo obywatelstwa nowy typ kolędy osiąga tu już stosunkowo silną pozycję. Wśród kolęd obyczajowych mamy 10 pasterskich, 2 szlacheckie, 1 chłopską. Kolęd czysto apokryficznych „Symfonie" nie zawierają. Elementy apokryficzne są porozrzucane po pieśniach innego typu. Podobnie i pierwiastki obyczajowe nie ograniczają się tylko do kolęd obyczajowych.

Kolędy o zdecydowanym charakterze kościelnym to przeważnie utwory, których motorem jest refleksja czy wzruszenie na marginesie opowieści ewangelicznej:

„Łaska nieba górnego dziwną rzecz sprawiła
U ludzi: Panna czysta Syna porodziła,
Którego żaden rozum ogarnąć nie może.
Awtowane gwiazdami opuściwszy łoże,
Spuszcza się Bóg wieczny niskości,
Żywot sobie obrawszy Panieńskiej w światłości,
Kędy bez zmazy stanął, a stamtąd, jak iny,
Do obory zstępuje. O! jakie nowiny".

(I 1-8)

Inne znów wykazują mniejsze lub większe przemieszanie elementów: do wątka ewangelicznego wplątują się motywy apokryficzne czy obyczajowe.

Jądrem kolędy jest moment Narodzenia Zbawiciela. Ale istnieje u Żabczyca grupa „symfonii", które skupiają uwagę nie na punkcie centralnym, ale na tym lub owym szczególe ubocznym obiektywnego obrazu, któremu nadalibyśmy tytuł „Adoracja Nowonarodzonego".

Do grupy centralnej należeć będą także kolędy lub wątki maryjne wśród jakich spotykamy obrazy o dużej sugestii czy autentyzmie lirycznym:

„Panna idzie ozdobiona
Słońcem, gwiazdy ustrojona..."
(IX, 7, 9)

„Ucieszna Panno, pokaż nam Syna..."
(XVII 1)

Z ubocznych motywów wymienimy interwencję Heroda, związaną z tym ucieczka do Egipcjan i rzeź Niewiniątek (symf. V, XVII, XXX, XXXIV) jak również sprawę Trzech Mędrców (XXIII, XXV, XXXI). Wreszcie symfonia II („Ach, zła Ewa nabroiła") nawiązuje do upadku pierwszych ludzi (Adama i Ewy).

Oczywiście, w kolędach obyczajowych wątki ewangeliczne ulegają pewnemu przetworzeniu, nasiąkają kolorytem lokalnym. I tak żłób, o którym mowa w Ewangelii, zamienia się na polską szopę, stajnię czy budkę, tzn. szałas. Żłóbek wysłany jest sianem lub słomą. Ewangelista mówi o pieluszkach, a Dziecina Boża w polskiej kolędzie nawet tego nie ma:

„Królewicz, patrz, przychodzi na ten świat bez szaty.
Członki jego pieszczone w żłobie położono,
Zimnem i niedostatkiem przykrym okrążono..."
(I 10-12)

i cierpi z powodu zimna tak, że trzeba Ją cieszyć tańcem, aby nie płakała.

„I poczną ja przed Dzieciątkiem skakać,
By nie chciało na tym zimnie płakać..."
(XXXVI 11-12)

Według relacji kanonicznej (Łukasz, II. 9 i n.) jeden anioł ogłasza nowinę gromadzie pasterzy, a „wojsko anielskie" mu towarzyszy i głosi chwałę Bogu, a pokój ludziom dobrej woli. W naszych kolędach jest tych aniołów czasem więcej, a pasterz jeden.

„Pojrzy wzgórę, aż anieli
Pod niebiosy są weseli,
Pokój ziemi ogłaszają
Chwałę Bogu powtarzają..."
(XXIII 15—18)

Zabawne w swej naiwnej prostocie jest zjawienie anielskie oglądane oczyma pastuszka:

„Kazał mi ci ktoś,
Powiedziawszy coś,
A ja mniemał, że to z nieba
Jest anielski głos.
. . . . . .
Pastuszek się zląkł,
Kij mu wypadł z rąk,
Na obłokach siła widząc
Promienistych prąg.
Dziwuje się sam,
Co by to za Pan
W stajni z bydłem tak ubogo
Narodził się tam"
(XXXV 1-4, 10-15)

Aniołowie są też obecni w szopie; przebywają tam — zda się — dłuższy czas, zadomowili się niejako wraz z pasterzami, którzy dzięki temu ośmielili się wobec nie ziemskich „person", a co więcej — spoufalili się do tego stopnia, że chcą z nimi pląsać.

Jak wspomnieliśmy, kolęd czysto apokryficznych u Żabczyca nie ma, bo trudno za takie uważać symf. XII („Trudna rada, Józefie kochany") i XVII („Gotuj osła, Józefie"), będące swobodniejszym opracowaniem opowieści ewangelicznej. Brak tam nierozłącznego atrybutu apokryficznego: cudowności fascynującej, narzucającej się, rozrzutnej (w przeciwieństwie do cudów ewangelicznych, odznaczających się powściągliwym umiarem i celowością — można powiedzieć — ascetyczną, nie wykraczającą ani na chwilę poza osiągnięte przez cud zamierzenie etyczne). Tej błyskotliwej cudowności nie ma we wspomnianych dwu pieśniach. Wydarzenia czy rozmowy, które tam się toczą, mogą ostatecznie pomieścić się w ramach kanoniczności. Będą to więc jeszcze pieśni kościelne.

Apokryf znajdziemy tylko fragmentarycznie w kolędach innego typu. Zgodne z ewangeliami jest nawiązanie faktu Narodzenia z proroctwami starotestamentowymi. Ale w „Symfoniach" wieszcza i oczekują Zbawiciela nie tylko prorocy, ale też pragną wprowadzenia przez niego z otchłani ojcowie tj. święci starotestamentowi.

„Już ojcowie teraz święci,
W otchłani z dawna zawzięci,
Co jutrzenki wyglądali,
W swej tesknicy doczekali
Światła nowego u siebie...
(XXVI 1-5)

NAJLICZNIEJSZE wśród obyczajowych i najoryginalniejsze w ogóle są kolędy pasterskie, pastorałki w ściślejszym znaczeniu. Mówiliśmy już, że jest ich w kantyczce Żabczyca dziesięć. Nie wszystkie one mają charakter jednolity. Przejściowość i tu widoczna. Żywioł pasterski jest jeszcze niekiedy dość powściągliwy, choć już przeważający, rola pasterzy — poza ewangelicznym widzeniem i samym hołdem — ogranicza się do gry na instrumentach, liturgiczna powściągliwość jeszcze tam panuje (np. w kolędach: IV — „Przy onej gorze", XXXI — „Przybieżeli do Betlejem pasterze"). Grupa pasterska jednak gdzie indziej już się indywidualizuje, nie tylko grają oni, ale śpiewają czy wręcz wykrzykują i dają folgę uczuciom; ich życie psychiczne dominuje nad całością. W radości ośmielają się wreszcie i spoufalają z wydarzeniem ewangelicznym tak dalece, że czynią „wywijanki" a nawet karmią małego Jezusa:

„A ubodzy pastuszy
Czując radość na duszy,
Nie przestają przygrawać,
Mleczka Dzieciątku dawać"
(XIX 37-40)

Najbardziej zdecydowana, pełna werwy, realistycznie uchwyconych scen i indywidualnych opracowań jest — wspomniana już tutaj — pastorałka XXII „Pastuszkowie bracia mili"—wartki dialog dwóch grup pasterzy, barwnie relacjonujących wydarzenia rozgrywające się w swoiście ujętym „Betlejem". Zacytujemy jeszcze parę wierszy, aby się przekonać dobitnie, do jakiego stopnia zdołały się tam zindywidualizować już np. choćby pasterskie podarunki:

„A cóż Mu tam darujemy,
Takiego Pana gdy najdziemy?"

„Ja barana białego,
A ty, Kuba, czarnego
Z chęcią, Jezu darujemy..."
. . . . . .
„I Matce potrzeba co dać,
Że nam da Syna oglądać"
„Weźmi masła garnuszek,
Ja wezmę koszyk gruszek —
Panience tej darujemy,
Z radością powinszujemy..."
(XXII 25-29, 33-38)

NA osobną uwagę zasługują skoncentrowane pod koniec zbiorku silnie nasycone lirycznie wiersze typu pastorałkowego (XXVIII „Albo pięknie zagrajcie, albo mi skrzypce dajcie", XXXV „Kazał ci mi ktoś, powiedziawszy coś"; XXXV „Przyskoczę ja do złej szopy z cicha"). Wyrażają one wzruszenia poszczególnych pasterzy. Posiadają przy tym charakter tak indywidualny, że wyczuwa się pod warstwą fikcji artystycznej osobowość samego autora, szczególnie wyraźną w nie darmo umieszczonej na końcu symf. XXXVI („Przyskoczę ja do złej szopy z cicha")

Trudno też pominąć elementy obyczajowe porozrzucane tu i ówdzie po kolędach typu czysto kościelnego. Szlachecki charakter ma zawarta w zakończeniu symfonii I („Łaska nieba górnego") apostrofa do gospodarza:

„Zaczym każdy mieszkaniec w tym ziemskim kieracie
Dziś bądź ochotnym, a ty, gospodarzu bracie,
Rozkaż wina nalewać, my śpiewać będziemy
Nowe pieśni Dzieciątku i rozkołyszemy".
(I.17-20)

Poufałością, tak częstą w pastorałach, jest nazwanie św. Józefa tatką (XXXIII 76). Pewnego rodzaju nonszalancji sowizdrzalskiej nie jest pozbawione zakończenie kolędy XV („Szczęśliwe czasy"):

Krzyczą anieli,
I my weseli
Bądźmy dziś na ziemi;
Ty gospodarzu,
Baczny szafarzu,
Dopomóż nam z ziemi"
(w 31-36; podk. T.N.)

Motywy sowizdrzalskie zasługują na baczniejszą uwagę, niżby się to na pierwszy rzut oka wydać mogło, gdyż — jak fakty wskazują — w ich klimacie narodziła się polska pastorałka.

Już wspominaliśmy, że „Symfonie anielskie" są pierwszym u nas zbiorem pastorałek. Jeśli zważymy, że pastorałka rozwinęła się właściwie dopiero w ciągu w. XVII i XVIII (St. Dobrzycki), to Żabczyca możemy uważać za poetę pod tym względem awangardowego, wnoszącego do liryki popularnej nowy akcent kolędowy, a do hymnologii — ludowy. To skrzyżowanie przejawia się nie tylko w zakresie tematyki, ale także w budowie wiersza (typy używane w liryce plebejskiej). Na podstawie zaś muzycznej „instrukcji" dołączonej do wydania z r. 1630 (odnalezionego przez Piszczakowskiego w latach trzydziestych bieżącego wieku) dowiadujemy się, że „Symfonie" były pisane pod popularne wówczas melodie tych mieszczańsko-ludowych „pieśni, tańców, padwanów". Na skrzyżowaniu dwóch tak różnych typów poetyckich, tj. średniowiecznej hymnologii łacińskiej (spolonizowanej w szerszym tego słowa znaczeniu już w ciągu XVI w.) oraz popularnej polskiej liryki pieśniowej (poezji plebejskiej) — powstał twór na wskroś oryginalny, pastorałka, która później tak bujnie się rozwinęła. Uznajemy ją za specyficznie rodzimą odmianę hymnologii o Bożym Narodzeniu, ale równocześnie za nieodrodny szczep wyrosły z pnia liryki mieszczańskiej. Przynależność Żabczycowej kantyczki do nurtu religijnego nie potrzebuje komentarzy; zawartość tomu mówi sama za siebie. Na jej rodowód plebejski wskazują natomiast rodzime rysy obyczajowe, swoista nonszalancja i sowizdrzalska poufałość w stosunku do tematu i całego świata, a nawet czasem akcent społeczny. Dodajmy do tego budowę wiersza w niektórych symfoniach i wszystkie melodie.

MÓWIĄC o rodzimości odkrywamy jedną z głównych tajemnic powodzenia i żywotności pewnej grupy „symfonii" Żabczyca. O tym poecie dziś już — poza grupą specjalistów — prawie nikt nic nie wie, utworów jego nie czyta, ale przez niego stworzone kolędy — już jako bezimienne — są znane. Do dziś śpiewa się jeszcze (oczywiście nie koniecznie w kościele i nie we wszystkich okolicach Polski) „symfonie": II („Ach, zła Ewa nabroiła"); IV („Przy onej gorze") XVI („A wczora z wieczora"); XXII („Pastuszkowie bracia mili" — jako „Powiedzcie pasterze mili: pierwszy wiersz tej kolędy przeszedł gdzieś w ciągu wieków do zgoła innej pastorałki) XXIII („Wstawszy pasterz barzo rano") XXXI („Przybieżeli do Betlejem pasterze"). Oczywiście, gdyby tak powędrować po kraju, odnalazłoby się, zwłaszcza po wsiach, niejedną Żabczycową „nutę". Jeszcze na początku XX wieku Jan Kasyzcki w swojej „Kantyczce z nutami" (Kraków 1911) zapisał ich 13 (prócz II, IV, XVI, XXII, XXIII, XXXI, umieszcza: I „Łaska nieba górnego dziwną rzecz sprawiła"; VII „O tej dobie leżał w żłobie"; IX „Ej nom ej — Wszytek świat dzisia wesoły"; XIII „Może teraz być wesołym człowiek zwątpiony"; XIV „Z raju pięknego miasta"; XVIII „Kazał anioł do Betlejem Juda"; XXXI „Przyskocze ja do złej szopy z cicha"). Podobnie mniej więcej przedstawiał się pod tym względem stan w połowie XIX w. W kantyczce ks. Mioduszewskiego („Pastorałki i kolędy" Kraków-Lwów 1843/1853) spotykamy mniej więcej te same „symfonie", z wyjątkiem II i III, ale za to z kolędą XXIII („Powiedziały, Napisały, Gdzieś Sybille")

W tej wędrówce przez wieki przewagę mają pastorałki (u Mioduszewskiego na 12 kolęd — 10 pastorałek; u Kaszyckiego na 13 kolęd — 9 pastorałek w dzisiejszym repertuarze na 6 kolęd — 5 pastorałek). Stąd prosty wniosek, że w pełni żywe do dziś pozostały te pieśni, które wyrosły na żyznym i bujnym podłożu rodzimej ludowości i posiadały piętno autentycznej twórczości poetyckiej.

Tadeusz Nuckowski

„Paryż, to prawdziwy ocean. Darmo rzucicie sondę w jego fale, nigdy nie poznacie jego głębokości. Darmo będziecie go przemierzać, darmo opisywać! Choć by nie wiem ile starań dołożyć, by go poznać i opisać, choć by nie wiem jak liczni i pełni ciekawości byli odkrywcy tego wielkiego morza, zawsze znajdzie się w nim jakieś miejsce dziewicze, jakaś kryjówka nieznana, kwiaty, perły, potwory, coś niesłychanego, zapomnianego przez nurków literatury".
H. de Balzac (1835)

„Wyspa de la Cité niby okręt osiadły wśród fal Sekwanu." (V. Hugo).

Fragment centrum Paryża według planu z XVII w.

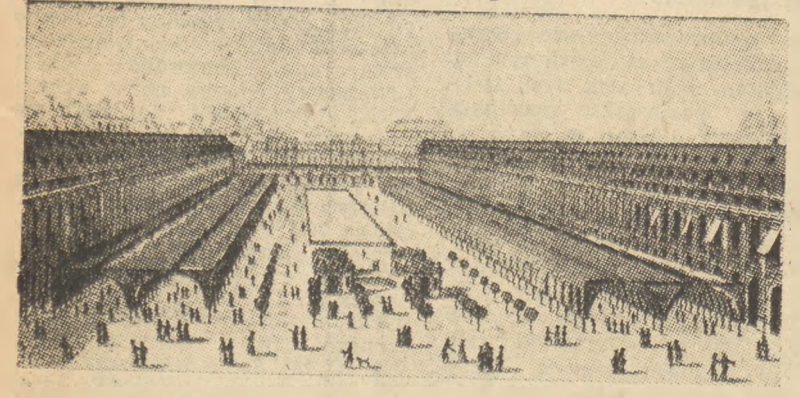

Palais Royal według starego sztychu. Zbudowany w latach 1629—1639 na rozkaz kardynała Richelieu, pałac ten stał się następnie paryską rezydencją Ludwika XIII i XIV. Po festynach, ucztach i zabawach wieku XVIII Palais Royal jest widownią rewolucyjnych przemówień Kamila Desmoulins. Splądrowany w 1848 r., zniszczony przez pożar w 1875 r., odbudowany w r. 1876, pałac ten jest dziś siedzibą Rady Stanu.

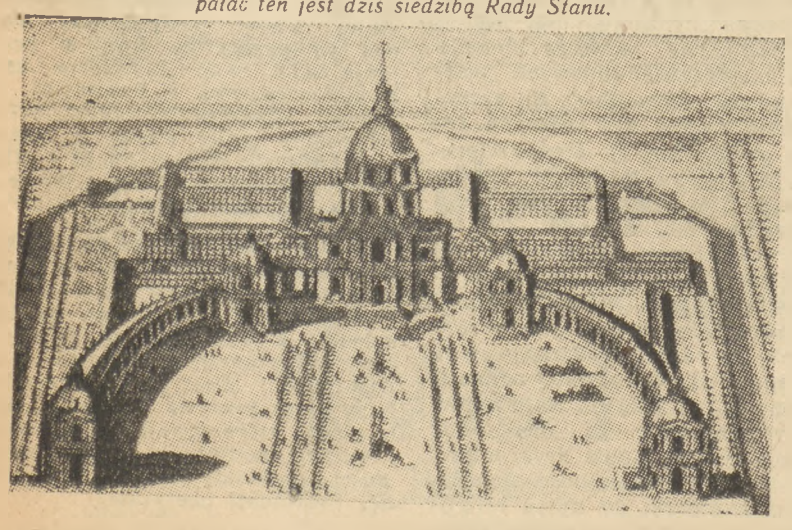

Kopuła Inwalidów pod którą spoczywają zwłoki Napoleona.

NARODY i państwa zjawiają się na wielkiej arenie dziejów i odchodzą po kilku lub kilkunastu wiekach trwania, a życie ich nie znaczy dla historii więcej, niż życie sąsiada dla mieszkańców dalekiej wioski górskiej. Miasta i stolice żyją jeszcze krócej i tylko pamięć o nich trwa długo. W miastach bowiem składają narody skarby swej cywilizacji tak, że wymarłe od tysiącleci ogromne metropolie Indii, Egiptu czy Mezopotamii stanowią niemalże jedyne ślady wielkości przebrzmiałych kultur.

Czasem legenda dawnej świetności jest tak silna, że na przekór rzeczywistości następne pokolenia budują na dawnym miejscu swoją stolicę. Tak się zdarzyło z Atenami, które przecież zaledwie sto kilkadziesiąt lat temu były nędzną poturecką mieściną, a na zboczach Akropolu pasły się chude kozy. Ściśnięty i brudny średniowieczny Rzym chłeptał wodę z Tybru, a swe znaczenie i rozwój późniejszy zawdzięcza jedynie temu, że Piotr Apostoł i jego Następcy obrali sobie za siedzibę wspaniałą Romę, stolicę pogańskiego świata.

Dla trzeciej stolicy kultury europejskiej, los okazywał się, jak dotąd, łaskawszy. Od czterech z górą stuleci myśl, piękno i uśmiech Paryża promieniuje nie tylko na Francję i Europę. Paris, Ville-Lumiére rozsiewa swoje światła szeroko po świecie.

W upływającym roku Paryż obchodził dwa tysiące lat swojego istnienia. Już ósmego lipca, w symboliczną rocznicę, przybyło do Paryża 45 burmistrzów stolic państw całego świata. Od tego czasu szereg imprez artystycznych, poświęconych historii miasta, wystaw, odczytów, pochodów, pokazów uświetnia tegoroczny sezon Paryża.

LUTETIA PARISIORUM

Kolebką stolicy Francji była wyspa na Sekwanie, znana dziś pod nazwą Ile de la Cité. Wiemy z „Komentarzy" Juliusza Cezara, że na tej właśnie wysepce istniało osiedle szczepu galijskiego, zwane Lutetia Parisiorum. Legenda głosi, że wkraczający Rzymianie zastali ludność Lutecji przy wyciskaniu soku dojrzałych gron z winnic. Odtąd poezje rzymskie nie raz sławiły urok wysepki na Sekwanie i smak win Lutecji. Mała Lutecja gallo-rzymska dała początek temu, czym dzisiaj jest Paryż.

Kiedy św. Dyonizy i święta Genowefa bronili miasta od wrażych napaści, zwało się ono już Paryżem. Klejnot błyszczący na przestrzeni wieków skarbami kultury, mieniący się rubinami krwi, miał już tuż po roku tysiącznym zalśnić bogactwem intelektu, strzelając kamienną koronką gotyku w błękitne niebo Francji.

ZAUŁKI ŚREDNIOWIECZA

Średniowieczne piękno starych dzielnic Paryża bije z każdej uliczki czy pasażu. Pełne dziwnego uroku są tu nazwy ulic tak wąskich, że siedzące w oknach mieszczki mogły swobodnie rozmawiać przez całą szerokość jezdni. Oto znana dziś na całym świecie „Ulica Kota Rybołówcy", a dalej „Ulica Studni Pustelnika", gdzie zapewne, przed wiekami, jakiś świątobliwy mąż miał swoją pustelnię. A brzmienie nazwy „Rue des Mauvais Garçons" przypomina, że w tym właśnie zaułku, najęta banda zamordowała ponoć słynnego rycerza, Olivier'a de Clisson. Każdy kamień znaczy tu historię miasta.

Jadwiga ŻUROWSKA

Paryż ma

Sercem Paryża jest katedra Notre Dame, wzniesiona na wyspie de la Cité, w miejscu starodawnej świątyni pogańskiej. Tutaj krzyżowały się dwie rzymskie drogi — dziś Rue de St. Denis i Rue de St. Martin — znacząc centrum średniowiecznej stolicy. Tutaj grasował Villon, tymi ulicami wracała Joanna d'Arc po zwycięskim odparciu Anglików od Paryża, tędy wędrował Rabelais.

W pierwszym tygodniu linca

Łuk Triumfalny de l'Etoile.

br., na tle wrót katedry — sur le parvis de Notre Dame — odbywały się przedstawienia średniowiecznego misterium z XV wieku: „Le vray Mystère de la Passion" pióra Arnould Gréban. Udział w tym spektaklu brali najwybitniejsi artyści stolicy. Urządzenia świetlne wydobyły całą grozę dramatu Ukrzyżowania. Ciemny masyw katedry rozświetlały błyskawice podczas sceny samobójstwa Judasza, w innym momencie świątynia oświetlona od zewnątrz jarzyła się pełną glorią swych witraży.

Obok Notre Dame Paryżanie szczególnym pietyzmem otaczają la Sainte-Chapelle. To smukłe dzieło wczesnego gotyku, niby akt strzelisty, wzbija się w niebo paryskie. Świątynia ta ufundowana została przez Św. Ludwika w roku 1246 dla godnego pomieszczenia Korony Cierniowej Zbawiciela i Drzazgi z Krzyża. Cechą charakterystyczna dla ówczesnych pojęć religijnych jest podział świątyni na dwie kondygnacje: dolna dla służby i plebsu oraz górna dla rodziny królewskiej i dla dworu.

STOLICA KATOLICYZMU FRANCUSKIEGO

Od początku niemal swego istnienia Paryż stał się pulsującym centrum politycznym, religijnym i filozoficznym narodu francuskiego. Tak jak Francja, uczestniczył we wszystkich wzlotach i upadkach Kościoła. Blisko setka paryskich świątyń, niby kamienie milowe, znaczy rozwój Kościoła i myśli katolickiej we Francji. Okres Reformacji był w Paryżu niesłychanie burzliwy i miał krwawy charakter, a walki religijne osiągnęły swój punkt szczytowy w tragicznej rzezi Hugenotów w nocy Św. Bartłomieja.

W parę lat później, po raz pierwszy w dziejach, urok Paryża zamanifestował się tak silnie, że okazał się bodajże silniejszy od przekonań i wierzeń religijnych. Oto król Nawarry Henryk oblegał Paryż, który nie chciał się poddać hugenockiemu władcy. Wówczas to Henryk wypowiedział historyczne słowa: „Paryż doprawdy wart jest Mszy" i porzucił protestantyzm. Wkrótce odbył triumfalny wjazd do miasta, jednocząc pod swym berłem wszystkie prowincje francuskie. Henryk IV — to jeden z niewielu francuskich władców, który zostawił po sobie wspomnienie dobrego i sprawiedliwego króla, dbałego o najlichszych ze swych poddanych.

Od chwili zapanowania Burbonów Paryż staje się niepodzielną stolicą całej Francji. Tu zawsze przebywa dwór królewski. Tu podczas Adwentu i Wielkiego Postu wzywa się najświetniejszych kaznodziei. Wygłaszają przed królem kazania Bossuet, Fénelon, Bourdaloue, Massillon...

ARCHITEKTURA WIELKOŚCI

Od średniowiecznych zaułków i świątyń do wielkich bulwarów, wspaniałych arterii wielkomiejskich, nowoczesnych pałaców i monumentalnych gmachów — budownictwo Paryża to żywa historia zakuta w kamienne wyrazy. Królowie średniowiecza i Renesansu wznosili pałace i kościoły, bogaci mieszczanie i arystokracja XVII i XVIII wieku budowali własne „hotels particuliers".

Z kamieni zburzonej przez lud Bastylii powstał most de la Concorde. Napoleonowi zawdzięcza Paryż rozwój urbanistyki w nowoczesnym pojęciu tego słowa. Łuk Triumfalny de l'Etoile, zbudowany w 1806 roku, miał być pomnikiem sławy napoleońskiej. Ale Korsykanin znalazł się pod Łukiem Triumfalnym tylko raz, już po śmierci. Ukończono go bowiem w 1836 r. na cztery lata przed sprowadzeniem prochów Napoleona.

W czasach Drugiego Cesarstwa Paryż znajduje w prefekcie Departamentu Sekwany, Haussmanie, śmiałego reformatora i twórcę jego najpiękniejszych bulwarów, gwiaździstych placów i alei.

2000 lat

MIASTO ARCYLUDZKIE

Chwałą Paryża jest i pozostanie jego ogromny wkład do kultury europejskiej. Tu rozwijała się myśl ludzka od Pascala, Moliera, La Fontaine'a aż po Balzaca, France'a i Bergsona. Najwspanialsze kwiaty malarstwa i rzeźby — od prymitywów średniowiecza po impresjonistów, i dzieła Rodin'a i Bourdelle'a — wyrosły na glebie francuskiej stolicy.

Najbardziej typowa dzielnica Paryża, to Quartier Latin, stanowiąca. po dziś dzień, ośrodek życia umysłowego. Słynny na całym świecie Boulevard St. Michel zwany przez studentów „Boul' Mich" jest zawsze miejscem spotkań młodzieży studiującej wszelkich narodowości. Tu zbierają się także młodzi pisarze, wydawcy, artyści. Rozmach młodości, śmiałe myśli i wybitne talenty wykwitają nagle w gorących dyskusjach. Kawiarnie, znane z atmosfery literacko-artystycznej pełne są o każdej porze: Les Deux Magots, Café de Flore, la Rhumerie. Dziwacznie poubierani zwolennicy egzystencjalizmu tłoczą się przy stolikach, podając sobie rękopisy, omawiając ostatnią sztukę Sartre'a, ostatnią książkę Simone de Beauvoir.

Tegoroczny „jarmark poetów" poświęcony był Wiktorowi Hugo, którego potężny geniusz tworzył w tej właśnie dzielnicy Paryża. Młodzi poeci paryscy złożyli hołd tym co odeszli, a których życie upłynęło w „dzielnicy łacińskiej". Zorganizowali bowiem wystawę rękopisów, dzieł, rzadkich wydawnictw swych starszych braci — od Verlaine'a do Léon-Paul Fargue'a.

W herbie Paryża widnieje okręt płynący z rozwiniętymi żaglami. Dzięki Sekwanie Paryż jest dziś trzecim, pod względem

Utrillo — fragment z Montmartre.

ilości przyjmowanego ładunku, portem Francji. Rzadko się myśli o tym, patrząc na lśniącą wstęgę rzeki, płynącą pośród wysadzonych kasztanami bulwarów. Tu, w cieniu drzew, bukiniści, od dziesiątków lat trzymają swoje stoiska, jedyną na świecie bibliotekę na wolnym powietrzu. Książki przegląda się stojąc, aż wreszcie znajduje się tomik, a czasem nawet tylko strzęp czegoś, z czym się już rozstać nie można — kupuje się — przeważnie za grosze — i od razu czyta wolnym krokiem wracając bulwarami.

Mosty paryskie są piękne w linii, a każdy z nich to pamiątka historii Francji. Jest ich dziś 36. Charakterystycznym widokiem są wędkarze paryscy. Siedzą ciasnymi szeregami na kamiennych obmurowaniach Sekwany. Od czasu do czasu wyrostek w czapce, z papierosem w kącie ust, rzuci jakąś krótką, ciętą uwagę: to dziecko Paryża — gavroche, nad swoją ukochaną Sekwaną.

POLACY „NA PARYSKIM BRUKU"

Udział Polaków w życiu stolicy Francji był od wieków znaczny. Przedrozbiorową Polskę łączyły jeszcze węzły dynastyczne. Na tronie Polski zasiadł na krótko Walezjusz — na tronie Francji znalazła się Polka, Maria Leszczyńska. Serce króla Jana Kazimierza spoczywa w opactwie St. Germain des Prés w Paryżu.

Ale Mekką emigracji polskiej stał się Paryż dopiero w XIX-ym wieku. Hôtel Lambert ks. Adama Czartoryskiego skupiał konserwatywne elementy Wielkiej Emigracji. Prawdziwym jednak władcą dusz polskich, władcą najtrwalszym — jak się okazało — był Adam Mickiewicz. Należy tu przypomnieć, że on to właśnie stworzył Biblioteke Polską w Paryżu na wyspie Św. Ludwika. Okupant hitlerowski wywiózł zbiory do Niemiec, skąd zaledwie drobną część udało się odzyskać po zakończeniu działań wojennych. Paryż uczcił pamięć Adama Mickiewicza wspaniałym pomnikiem wzniesionym na Place de l'Alma, dłuta Bourdelle'a.

Pamiątki polskie w Paryżu spotyka się prawie na każdym kroku. Są one liczniejsze jeszcze od nazw miejscowości polskich i nazwisk polskich żołnierzy wyrytych na Łuku Triumfalnym. Udział Polaków w walkach Komuny Paryskiej był szczególnie liczny. A w przeddzień drugiej wojny światowej formowały się w Paryżu kadry polskich batalionów imienia Jarosława Dąbrowskiego i Wróblewskiego, spieszące na pomoc republikańskiej Hiszpanii w jej nierównej walce ze światowym faszyzmem

TRADYCJE WALKI

Dopiero jednak za czasów Wielkiej Rewolucji Paryż stał się naprawdę sercem i mózgiem Francji. Wówczas to lud stolicy dał przykład walki z absolutyzmem i porwał za sobą cały kraj. Runął zmurszały gmach monarchii, w niwecz obróciły się spiski królów i książąt ze Świętego Przymierza.

Po trzykroć w ciągu XIX stulecia zrywał się Paryż do boju o wolność i równość społeczną. I w żadnej z rewolucji lipcowej, lutowej czy Wielkiej Komunie, nie zabrakło Polaków.

Do dzisiaj rewolucyjna Marsylianka pozostaje francuskim hymnem narodowym, a święto 14 lipca znaczy rocznicę zdobycia Bastylii.

Paryż w roku 1940 nie oparł się nawale hitlerowskich czołgów. Nie bronił honoru uciekającej armii, jak rok wcześniej Warszawa. Przeciwnie, wkroczenie dywizji niemieckich do Paryża poprzedziło o trzy dni zaledwie koniec Trzeciej Republiki.

Trzeba było dopiero czterech lat ciężkiej okupacji, głodu, więzień, 100.000 rozstrzelanych patriotów na Mont Valérien, by Paryż powrócił choć na chwilę do bohaterskich swoich dni z lat 1792 i 1871. Francuski Ruch Oporu pod przewodnictwem postępowej organizacji wojskowej Franc-Tireurs et Partisans wezwał ludność Paryża do broni 20 sierpnia 1944. Dowódca powstańczego Paryża został komunista, pułk. Rol. W pięć dni później dzwony Notre Dame wieściły światu, że Paryż odzyskał wolność.

Jakże trudno jednak było odzyskać miastu choć cząstkę dawnej świetności. Powojenne trudności, kłótnie parlamentarne, nieudolność kolejnych rządów doprowadziły Paryż do jakiegoś marazmu, jakiejś bezwoli i melancholii. Publicyści wielkich obcych dzienników stwierdzali, że Paryż nie jest już dawnym Paryżem, ale raczej miastem muzeów i zabytków, że jeździ się do niego jak do Padwy czy do Florencji...

Ludzie, którzy pisali te i tym podobne pesymistyczne reportaże, nie zdawali sobie—i zapewne nie zdają sobie do dzisiaj — sprawy, że Paryż to nie tylko piękno i luksus ulicy Rivoli, nie tylko wielkie bulwary z okolic Opery, nie tylko najpiękniejsza aleja świata: Pola Elizejskie. I nie fantastyczna elegancja rozsławionych domów mody, przepych futrzarzy i jubilerów, snobistyczne kawiarnie i bale wydawane dla tego lub innego maharadży czy milionera południowoamerykańskiego. Bo całe to choćby i najbardziej rzeczywiste piękno, to jeno zewnętrzna, najłatwiej dająca się zauważyć szata.

Turystów nie oprowadza się po robotniczych dzielnicach, zmagających się z bezrobociem, przeludnieniem i brakiem podstawowych urządzeń sanitarnych i urbanistycznych. Tu jest inny Paryż, Paryż proletariatu, walczący o postęp i lepsze jutro Francji, o sprawiedliwość społeczna, o usunięcie rządów posłusznych USA. Tych rządów, które wtrącają Francję w brudne wojny kolonialne, które trzymają w więzieniach patriotów z Ruchu Oporu i rzucają oddziały Garde Mobile na strajkujących robotników.

Paryż tak bogaty w tradycje walk rewolucyjnych nie lęka się dziś gróźb i represji. Do tego Paryża należy przyszłość miasta, który jest dla Francji czymś więcej niż tylko siedzibą rządu a dla Europy czymś więcej, niż tylko stolicą Francji.

Rolę Paryża najtrafniej określił Wiktor Hugo pisząc z wygnania: „Paryż kroczy samotnie swoją drogą. Francja — podąża za nim, musi podążać choć ją to gniewa. Później uspakaja się i przyklaskuje. Jest to jedna z form naszego życia narodowego. Paryż stwarza wydarzenie — Francja, nagle przywołana, staje mu się posłuszna".

Jadwiga Żurowska

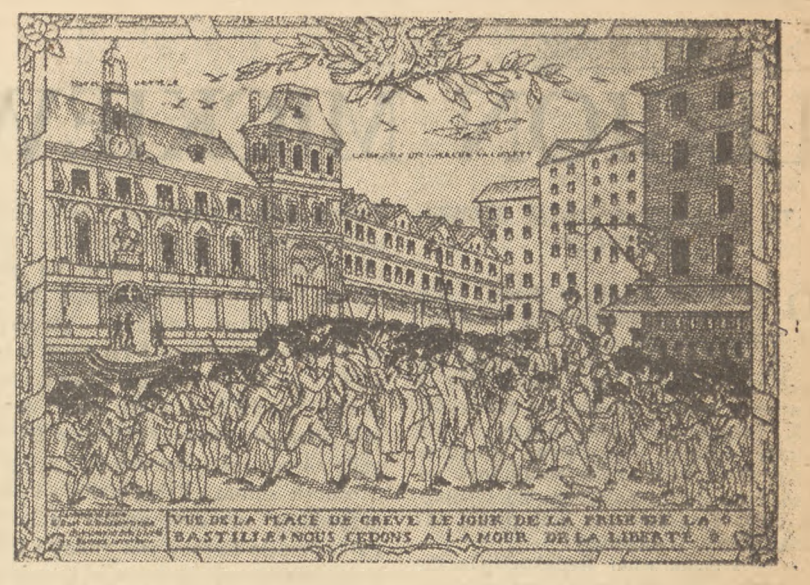

Widok placu de Greve w dniu zdobycia Bastylii.

Paryż podczas rewolucji 1830 r.

24 lutego 1848 r. Lamartine wraca na ratusz po proklamacji 2-ej Republiki.

Kolumna Vendôme w nocy.

Zbyszko BEDNORZ

W 153 ROCZNICĘ URODZIN A. MICKIEWICZA

LEGION MICKIEWICZA NAD ODRĄ I WARTĄ

„TĘ KSIĄŻKĘ RADBYM SOBIE ŻYCZYŁ..."

OTO jeden z tysięcy listów, jakie zjawiały się na biurkach redakcyjnych licznych gazet i czasopism polskich, wychodzących na przestrzeni długich dziesiątków lat wieku XIX i pierwszych dwu dziesiątków lat wieku XX. Pisane były przy okazji jubileuszów, rocznic, konkursów, urządzanych przez zapalonych redaktorów — budzicieli ducha polskiego na Opolszczyźnie; autorami ich byli prości ludzie, chłopi i robotnicy:

„Do Szanownej Redakcyj Gazety Opolskiej, Chrościce pod Opolem, 28.9.1915.

Na uroczystość jubileuszu przesyłam Redakcji moje życzenia najserdeczniejsze. Jak długo „Gazeta" istnieje abonuję i czytam ją i będzie ona dalej w moim domu ulubionym gościem, bo wiem, co „Gazeta" mi przynosi. Utrzymuję w mojej rodzinie ducha polskiego, przez jej artykuły nauczę się dużo, co się tyczy religii, ojczystej sprawy i rolnictwa. Jeżeli by Redakcja według swej zapowiedzi na pamiątkę „Pana Tadeusza" mogła mi ofiarować, to bym tę książkę rad sobie życzył. Ja abonowałem „Gazetę Opolską" na własny koszt od 1.10.1890 bez przerwy aż do tego czasu.

Urban Izydor"

(List wyjęty z pracy Jacka Koraszewskiego: „Dzieje kultu Mickiewicza na Śląsku". Dys. U. J 1951 maszynopis).

Zdumiewająca, ogromna była rola Mickiewicza dla Śląska i w ogólności dla ziem Zachodnich Polski przed pierwszą wojną światową. Dziwne, że do tej pory nie ukazała się drukiem ani jedna na ten temat publikacja, skoro pominąć publikacje typu historyczno-przyczynkarskiego, związane z pobytem Mickiewicza w Wielkopolsce; co prawda Bohdan Zakrzewski w swej świeżo wydanej pracy „Mickiewicz w Wielkopolsce" pisze, że poeta tu zetknął się po długim czasie z szlachtą i ludem osiadłym na swojej ziemi" i że „odświeżył dawne wspomnienia, pogłębił i rozszerzył swój światopogląd na sprawy narodowe i socjalne" — czym dalej uzasadnia m. in. przyczyny zrodzenia się doń wielkiego na tej ziemi kultu we wszystkich sferach społecznych; wprawdzie już Stefan Kawyn w swej „Ideologii stronnictw politycznych w Polsce wobec Mickiewicza, 1890 — 1898" podkreślił odkrywczo, że poezja Mickiewicza „stała się budzicielem i organizatorem świadomości narodowej na Śląsku" (o czym przypomina Jacek Koraszewski we wspomnianej dysertacji — przecież zasadniczego naświetlenia tego niezmiernie ciekawego problemu o mobilizującym charakterze Mickiewicza na ziemiach zachodnich jeszcze nie posiadamy. Czas by już zaiste popatrzeć także i z tej strony na Mickiewicza, którego fragment Improwizacji „Ja kocham cały naród! Objąłem w ramiona wszystkie przeszłe i przyszłe jego pokolenia..." nabierze dopiero wówczas pełni i mocy, kiedy szczegółowo, jasno i wyraźnie zdamy sobie sprawę, że pojęcie naród nie jest u Mickiewicza pojęciem zwężonym, wypaczonym przez złą tradycję, ale że tym pojęciem jak szerokim wiosłem zagarnia i Ślązaków znad Odry, i Wielkopolan, i Pomorzan, że w tym pojęciu mieści się lud prosty, narodowo i socjalnie uciemiężony i że też tak na tych ziemiach zachodnich był rozumiany i przyjmowany i za to tu właśnie ukochany jak żaden w tysiącletniej kulturze naszej geniusz.

MIJA 120 LAT OD PRZYJAZDU MICKIEWICZA NA ZIEMIE ZACHODNIE

W KAPITALNYM liście Mickiewicza do Joachima Lelewela, pisanym w Dreźnie 23 marca 1832 r. po ostrych słowach krytyki, skierowanych pod adresem emigracji polskiej („ja te stronnictwa mam za zgrają egoistów zdemoralizowanych"), po ataku na bezideową Francję, w której panuje „finansowy liberalizm" czytamy: „Pobyt w Wielkopolsce i to com słyszał o Śląsku utwierdziło moje zasady: może nasz naród jest powołany opowiadać ludom Ewangelię narodowości, moralności i religii". Stosunek autora „Ksiąg narodu i pielgrzymstwa" do emigrantów polskich na zachodzie Europy jest znany i tylekroć przez poetę zarówno w korespondencji jak i publicystyce szczerze i bez kompromisów ujawniany. Nie tam, na emigracji jest naród; nie tam i nie przez emigrantów Polska będzie budowana: *„Nasi wiele budują na rozprawach parlamentu, które, jak mi się widzi, skończą się na głupstwie. Nie słyszałem, żeby naród jaki rozprawami i notami dyplomatycznymi wskrzeszono..."* (z listu do Grabowskiego 1832). Więc spogląda na kraj i z uwagą, jako jedyny z wielkich romantyków w tym terminie geograficzno-kulturowo-politycznym mieści rzeczywistość ludzi i ich spraw z okolic Warty, Noteci i Odry, jako jedyny z wielkich romantyków wymawia słowo Śląsk, słowo, którego nie zna w swym przebogatym słownictwie ani Słowacki, ani Krasiński, ani Norwid. Tę rzeczywistość sam bowiem poznał, do niej przylgnął od razu, z nią łączył wiele nadziei na przyszłość. Akurat tego roku mija 120 lat od przyjazdu Mickiewicza na polskie ziemie zachodnie, na których poeta spędził prawie 8 miesięcy swojego życia, chłonąc młodą duszą i żywym umysłem nie tylko krajobraz ale i problematykę tych ziem i nie tylko polując i uprawiając flirty, jak to przeważnie do tej pory podkreślają mniejsi czy więksi uczeni, pracujący według starej metodologii badań literackich.

Podobnie jak dopiero niedawno znalazł właściwe ujęcie problem pobytu Mickiewicza w Rosji i sylwetka poety w świetle świeżych badań, studiów, zestawień z ówczesnym ruchem politycznym i umysłowym Rosji, Polski i reszty Europy (por. studia Leona Gomolickiego) stała się bliższa prawdy, tak i w tym wypadku należy oczekiwać ukazania polskiemu czytelnikowi Mickiewicza w jego stosunku do części Polski, które pozostawały pod zaborem Państwa Pruskiego.

PROBLEM POLITYCZNY I KULTURALNY

PRÓBUJĄC postawić problem: Mickiewicz a polskie ziemie zachodnie, czynimy to dla dużej aktualności tego problemu dzisiaj. Nie przychodzimy w sukurs szkolarstwu i do „wybranych" tematów z literatury rodzaju „Mickiewicz a zagadnienia gry w szachy" lub „Mickiewicz a ekonomika gospodarstw średnio zamożnej szlachty" lub tym podobnych, nie mamy zamiaru dorzucać nowych. Powiązanie Mickiewicza z naszymi ziemiami zachodnimi jest problemem politycznym i kulturalnym o znaczeniu zasadniczym. Wystąpił on z wielką siłą w nie tak dawnej przeszłości, a i dziś w latach poważnych, historycznych procesów asymilacyjno-narodowych i kulturalnych na ziemiach zachodnich, w okresie procesów powrotowych na łono Macierzy wielu setek tysięcy ludności rodzimej, w okresie nareszcie przerażających poczynań emigranckich — trzeba na nowo: uświadomić czym był poeta tej miary dla mas wynaradawianych, poddanych ciężkiej, ale precyzyjnej pruskiej machinie absolutystycznej, dalej, ukazać te elementy, pierwiastki, wartości poety i jego dzieła, które spowodowały tam ową żywiołową percepcję, zestawić typ cywilizacyjny, poglądy, wiary wspólne i koncepcje socjalno-polityczne Mickiewicza i społeczeństwa polskiego pod zaborem pruskim, wyjaśnić stosunek Mickiewicza do problemu niemieckiego, jego kontakty z postępowymi Niemcami w Berlinie czy Dreźnie, jego walkę bezkompromisową z niemczyzną zaborczą i szowinistyczną (bliski jest tej tematyki i dotyka ją Ludwik Mikusiński w swym studium pomieszczonym w „Przeglądzie Zachodnim" II półr. 1949 a zatyt. „Sądy Niemców o Mickiewiczu").

Jakże cenną będzie ta wiedza, na której się oprze dzisiejsze podejścia do wspomnianych wyżej procesów powrotowych. Prócz tego trzeba wreszcie wybić wspaniały akcent tego problemu, jako świadectwo zdrowych tradycji kultury polskiej, najlepszymi i największymi swymi przedstawicielami tak cudownie powiązanej z historycznymi ziemiami naszego zwycięstwa.

NA PRZYKŁAD: MICKIEWICZ, WROCŁAW I GÓRNY ŚLĄSK.

„PATRZ na tych naszych braci a jeśli masz serce odeślesz konie, abyś sam w ich towarzystwie moment przeżył, jakich mało w twym życiu mieć będziesz..." odezwał się Mickiewicz do swego towarzysza podróży Platera w dniu wyjazdu z Berlina, gdzie bawił krótko w roku 1829 i gdzie po raz pierwszy zetknął się z grupą młodzieży Polski zachodniej, tam wówczas studiującą. Właśnie wtedy powstało pierwsze przęsło tego potężnego mostu, jaki w ciągu następnych dziesiątków lat został zarzucony między Mickiewiczem a Wrocławiem (pobyt berliński dał początek także i innym nie mniej ważnym sprawom, jak chociażby przyjaźni z Garczyńskim).

Wśród studentów berlińskich znajdowali się przedstawiciele prawie całej Polski. *„Poeta spotkał tu reprezentantów wszystkich części dawnej Polski. Brakowało tylko Galicjan. Bawiono poetę śpiewami patriotycznymi, narodowymi i ludowymi, o co szczególnie prosił..."* notuje jeden z wielbicieli poety i uczestnik berlińskich powitań i pożegnań Wojciech Cybulski. Otóż tenże Wojciech Cybulski, zostawszy po latach profesorem katedry słowiańskiej na uniwersytecie wrocławskim, zrewolucjonizował środowisko Wrocławia nazwiskiem autora „Konrada Wallenroda" i przez to uczynił wiele dla sprawy polskiej. Już przed Cybulskim działało tutaj przez Górnoślązaków i Poznaniaków założone w r. 1838 (w symbolicznym, rocznicowym dniu 3-go maja) Towarzystwo Literacko-Słowiańskie, którego gorliwym kuratorem był czeski profesor fizjologii Purkyni, walczący o utrzymanie Towarzystwa z władzami uniwersyteckimi i administracyjno-policyjnymi. Jak wynika z tytułów referatów, które są pomieszczone w „Pamiętniku Towarzystwa Literacko-Słowiańskiego" wydawanym we Wrocławiu w r. 1886, młodzież tego miasta żywo interesowała się naczelnym poetą naszym, w nim słusznie upatrując chorążego sprawy polskiej.

Katedra słowiańska we Wrocławiu i same miasto ciekawie się wiązały z Mickiewiczem, bo zauważcie, jeszcze przed Cybulskim zajmował to miejsce poeta i uczony czeski Czelakowski, którego Mickiewicz poznał w Pradze, dokąd był jeździł specjalnie celem osobistego zetknięcia się z Hanką, Czelakowskim i Kolarem, bo zważcie dalej, że po Czelakowskim tedy, szerzącym również kult Mickiewicza we Wrocławiu, widzimy na tym stanowisku, a potem w charakterze lektora języka polskiego ks. W. Krasińskiego, który znał Mickiewicza, a nawet w r. 1846 spowiadał poetę w Paryżu; wreszcie Nehring, wykładający we Wrocławiu od r. 1868 filologię słowiańską potrafił tu wytworzyć jeden z najżywszych ośrodków studiów i kultu Mickiewicza w drugiej połowie XIX wieku. Mickiewiczologia wrocławska jest już dziś powszechnie znana, to też nie zachodzi potrzeba poświęcenia jej na tym miejscu większej uwagi.

W r. 1868 powstało we Wrocławiu

Pomnik Adama Mickiewicza, w stroju pielgrzyma, na placu de l'Alma w Paryżu, dłuta Antoniego Bourdelle.

Towarzystwo Polskich Górnoślązaków, którego m.in. prezesem był późniejszy wielki poeta odrodzenia narodowego na Śląsku ks. Konstanty Damrot, swą patriotyczną lirykę opierający na mickiewiczowskich wzorach. Towarzystwo to dostarczyło ruchowi odrodzeńczemu na Śląsku pokaźnego pułku najwspanialszych bojowników i działaczy sprawy polskiej. Czym był Mickiewicz, czym były jego dzieła dla tych młodych Ślązaków z Górnego i Dolnego Śląska, nie sposób zilustrować w paru zdaniach. Wszelako jeżeli wówczas w wychowaniu ideologicznym, patriotycznym uciekano się do systematycznego głośnego wspólnego czytania „Pana Tadeusza" i „Konrada Wallenroda" przez przeciąg długich lat, jeżeli wygłaszano referaty i publicznie dyskutowano na temat dzieł mickiewiczowskich przede wszystkim (dla przykładu podajemy tutuły odczytów wygłoszonych w Tow. Lit. Słow. w jednym tylko semestrze zimowym 1871/72 r.: „czy poezja polska w wieku XIX zasługuje na nazwę romantycznej", „O życiu i pismach Adama Mickiewicza", „O zasługach Brodzińskiego w lit. polskiej", „O myśli przewodniej w Konradzie Wallenrodzie", „O stanowisku Mickiewicza w literaturze pod względem narodowości" itd); jeżeli co roku regularnie dla uczczenia rocznic śmierci poety urządzano święto dla całego polskiego Wrocławia, jeżeli nawiązywano łączność właśnie na płaszczyźnie kultu Mickiewicza z Warszawą, Krakowem, Poznaniem, wierzyć trzeba, że tu, w nadodrzańskim Wrocławiu przeprowadziła się wielka mobilizacja mickiewiczowskiego Legionu, który był znacznie realniejszą bojową siłą narodu, niżeli ów Legion zorganizowany przez poetę i wysłany na ziemię włoską. Doskonale zdawał sobie z tego sprawę Edward Odyniec, którego zaprosili Wrocławianie jako jednego z najbliższych Mickiewicza przyjaciół na uroczystość patriotyczno-narodową 28 listopada 1881 r. Niestety natłoczona w wielkiej sali „Hotel de Silésie" publiczność mogła jedynie wysłuchać okolicznościowego wiersza Odyńca o dążnościach umysłu i serca twórcy „Dziadów", nadesłanego pocztą do komitetu, na skutek niemożności przybycia osobistego (wiersz Odyńca zamieszczony jest w cytowanej już pracy J. Koraszewskiego).

Poza środowiskiem akademickim Wrocławia, w którym żyły i pracowały w duchu mickiewiczowskim prócz już wymienionych, jeszcze inne towarzystwa polskie (nb. i na ten temat posiadamy świeżą doktorską pracę, mianowicie Franciszka Szymiczka: „Polsko-śląskie Towarzystwa Akademickie we Wrocławiu", dys. U.J., niestety podobnie jak praca J. Koraszewskiego o dziejach kultu Mickiewicza na Śląsku, do tej pory nie wydana) istniały polskie środowiska zawodowe, mające również swoje towarzystwa i związki. „Towarzystwo Przemysłowców Polskich", zrzeszające rzemieślników, robotników i kupców (termin „przemysłowiec" miał wówczas inne znaczenie niż dzisiaj), „Towarzystwo Harmonia", „Stowarzyszenie Kupców", „Sokół", „Straż", „Tow. Lutnia", „Tow. Polsko-Katolickie" we Wrocławiu i inne posiadały w swych bibliotekach liczne egzempla

(Dokończenie na str. 13)

Tadeusz S. GRABOWSKI

Mickiewicz u Słowaków

NIE miał szczęścia Mieckiewicz u Słowaków. Wnosząc z minimalnej ilości przekładów z niego na język słowacki, przypuszczać by można, że poezja twórcy „Pana Tadeusza" nie przemawiała do duszy tego najbliższego Polakom narodu słowiańskiego. A jednak w bujnym okresie duchowego i politycznego odrodzenia Słowacji, w okresie **Ludwika Sztura** (1815—1856), poezja Adama Mickiewicza — jak się wyraża w swym posłowiu autor najnowszego przekładu „Ksiąg narodu i pielgrzymstwa polskiego", **Matusz Zjara** [1]) — „należała do żelaznego repertuaru Szturowej generacji, która ją czytała i recytowała w oryginale" (str. 113). Tym się zapewne tłumaczy to ubóstwo przekładów słowackich z Mickiewicza, ograniczające się aż do ostatnich czasów do tłumaczenia zaledwie „Krymskich sonetów", „Ody do młodości", drobnych fragmentów z „Dziadów" i kilkunastu pomniejszych utworów Adama, ani jednego większego jego dzieła. Bliskością polszczyzny chyba i powszechną znajomością u Słowaków języka czeskiego, który wcześnie zaczął przyswajać sobie główne utwory Mickiewicza — należy tłumaczyć to niezwykłe ubóstwo przekładów tego poety.

Odegrała tam zapewne hamującą rolę i inna jeszcze okoliczność: krwawa reakcja, jaka nastąpiła na Słowaczyźnie po nieszczęsnym powstaniu 1848/49 r., po zapanowaniu absolutyzmu madziarskiego, wzmocnionego rosnącym z dnia na dzień szowinizmem Węgrów, który tłumił wszelkie śmielsze porywy Słowaków, niszczył każde ognisko samowiedzy narodowej, prześladował słowianofilskie przejawy braterstwa i jedności z resztą Słowiańszczyzny. Również czynny udział Polaków w ruchu rewolucyjnym węgierskim, nie uznającym narodowych dążeń słowackich, musiał oddziałać ochładzająco na umysły słowackich patriotów. Niemniej duch polskiego romantyzmu przedostawał się na Słowację poprzez ściśle strzeżoną po klęsce 1849 r. granicę tej ziemi i jeżeli nie swą mową wprost, to swym utajonym pismem mistycyzmu i przenośnych alegorii oddziaływał na bardziej rozbudzone umysły młodej generacji. Wszak nie co innego, jak Mickiewiczowski mistycyzm i patriotyzm pozostawił trwałe ślady w „Vieroslavinie" **M. M. Hodży** (1811—1870), w baśniach **Sama B. Hrobonia** (1820—1894), w „Krzyżowych drogach" **Jana Botty** (1829 — 1881), podobnie jak Mickiewicza motywy balladowe i powieściowe znalazły oddźwięk w poezji **Ludw. Żelli** (1809—1873) lub **A. Sladkowicza - Braxatorisa** (1820—1872).

Do tego właśnie mistycyzmu nawiązuje najnowszy tłumacz „Ksiąg narodu i pielgrzymstwa polskiego", **Matusz Zjara**, kiedy powiada, że główną pobudką do wprowadzenia tego dzieła w słowacką literaturę jest właśnie **„mesjanistyczna idea"**. Choć spóźniony, spłacili w ten sposób Słowacy swój dług wobec Mickiewicza w jego roku jubileuszowym zadań jego poezji w dorobku duchowo-narodowym epoki Hurbana i Sztura. „W czasie odrodzenia Słowiaństwa — powiada dalej — należy nam się dokładnie zaznajomić ze wszystkimi ważnymi stadiami dziejów, w jakich się ono formowało. Nie ostatnim z nich był mesjanizm i, jakkolwiek przeceniany, przecież do dziś jeszcze żyje. A „Księgi" przedstawiają klasyczny jego wyraz". (str. 113).

Tłumaczenie jest wierne, poetyczne i zgodnie z oryginałem, cokolwiek archaizowane na wzór przypowieści biblijnych. Usterek w nim znaleźć można zaledwie kilka i to wkradły się raczej przez przeoczenie korektora, aniżeli przez fałszywe zrozumienie tekstu. Możliwe też, że wynikły one z faktu, iż tłumaczenia dokonano z któregoś z późniejszych wydań „Ksiąg", nie zupełnie ściśle oddającego tekst pierwotny dzieła z r. 1832, jakkolwiek końcowa w przekładzie adnotacja wskazywałaby, że przekład dokonany został z fotokopii pierwszej paryskiej edycji, sporządzonej w Wilnie przez Min. Wyznań Relig. i Oświaty Publ. RP w r. 1919, na pamiątkę otwarcia Uniwersytetu Stefana Batorego. Wgląd jednak do tego wydania przekonał, że nie ma w nim żadnych braków.

I tak, w zakończeniu V rozdz. „Ksiąg Pielgrzymstwa", gdzie mówi Mickiewicz o młodszych braciach Polaków: „Irlandczykach i Belgach i innych narodach wierzących" [2]), tłumacz słowacki **Belgów** zastąpił **Węgrami** (str. 40). Świadczyłoby to, że opierał się na wydaniu drugim „Ksiąg Pielgrzymstwa" z r. 1832 (u A. Pinarda), albo na późniejszym przedruku tego wydania, w którym sam Mickiewicz wykreślił „Belgów", a wpisał „Węgrów" (Pigoń, uwaga do wiersza 677). Prawdopodobnie ta zmiana bardziej odpowiadała tłumaczowi słowackiemu ze względu na bezpośrednie sąsiedztwo Słowaków z Węgrami, jak i większą aktualność w stosunku do chwili dzisiejszej.

Poważnym natomiast brakiem przekładu słowackiego jest **zupełne pominięcie**, (którego logicznej przyczyny trudno się doszukać) **całego rozdziału XX**, wskutek czego numeracja dalszych rozdziałów jest przesunięta o jedną cyfrę wstecz, a całość „Ksiąg Pielgrzymstwa" posiada nie XXIV rozdziały, lecz tylko XXIII. A przecież jest to bodaj że najważniejszy ustęp w „Księgach pielgrzymstwa", poczynający się od pamiętnych słów: „Leżała pewna niewiasta w letargu i wezwał syn lekarzy..." (cyt. wyd. 126—7). Mowa w nim o różnych sposobach leczenia zmarłej oraz o budzeniu Polski z niewoli według różnych programów partyjnych, o jej przyszłym rządzie i granicach. Zakończony zaś owym wspaniałym przykazaniem Mickiewicza, które stało się hasłem wszystkich przyszłych pokoleń: **„O ile powiększycie i polepszycie dusze wasze, o tyle polepszycie prawa wasze i powiększycie granice"**. Opuszczenie tego rozdziału jest bardzo poważnym brakiem w przekładzie Mateusza Zjary, niewątpliwie zaszłym z powodu niedopatrzenia przy korekcie. Trudno bowiem przypuścić, by przekład był dokonany z jakiegoś zdefektowanego egzemplarza oryginału. Fatalny ten **lapsus calami** winien być bezwarunkowo wyrównany nie w następnym dopiero wydaniu przekładu, ale **już teraz** w formie dodatkowej, uzupełniającej wkładki z przekładem XX rozdz. oraz poprawką o całej paginacji rozdziałów.

W końcu należy wyrazić żal, że tłumacz nie skorzystał z doskonałego wydania „Ksiąg" prof. Pigonia i nie dodał, choćby do najmniej zrozumiałych dla dzisiejszego czytelnika (zwłaszcza słowackiego!) obrazów czy aluzji politycznych oryginału, koniecznych dla zrozumienia tekstu objaśnień rzeczowych. Przekład by zyskał niewątpliwie na wartości i łatwiej by spopularyzował w kołach społeczeństwa słowackiego ten niełatwy dla dzisiejszego czytelnika utwór.

Natomiast z całym uznaniem należy podkreślić bardzo staranną i wytworną szatę typograficzną (w jakiej my dziś „Ksiąg" nie posiadamy!) oraz celowość i umiejętne ujęcie obszernego i pięknego „posłowia" p. Zjary p. t. **„Mesjanizm Adama Mickiewicza i jego stosunek do Rosji"** (str. 91—119). Wykazał w nim tłumacz nie tylko dobrą znajomość problemów politycznych i społecznych wśród polskiej emigracji paryskiej za czasów Mickiewicza, ale i subtelne podejście do najbardziej drażliwych momentów w polsko-rosyjskich stosunkach. Zrozumiał wielkość ducha Mickiewicza, co na szalach sprawiedliwości ogólno-ludzkiej umiał odważyć krzywdę zarówno swego narodu, jak i narodu rosyjskiego, jęczącego pod batem „samodzierżawcy", podkreślił z całym naciskiem apostolskiego ducha poety. Tłumacz widzi cudowną moc jasnowidzenia Mickiewicza, który przejrzał poprzez zwały chmur przyszłych wieków promienie wschodzącego słońca **wolności i braterstwa ludów.** Mesjanizm autora „Dziadów" odkrył w tym skromnym dziele, przeznaczonym dla „pielgrzymów" polskich, a godnym czytania — wedle słów Lammenais'go — „przez ludzkość całą", masę **prawd świętych**, które dopiero po wiekach ludzkość zrozumieć będzie zdolna, a które oczyszczone w ogniu walk politycznych i socjalnych całego świata, stać się będą mogły ciałem przyszłej rzeczywistości.

1) **Adam Mickiewicz — „Knihy národa Polského a Knihy pútnictva polského z roku Pana 1832"** preložil **Matúš Zjara** Vydalo Verbum v Kosiciach. Vytlacila Alzbeta p. n. s. v Kosiciach. Str. 118 — 5ml.

2) Patrz wydanie prof. **Stanisława Pigonia** w serii I „Biblioteki Narodowej" (Nr 17) w wyd. Krak. Spółki Wydawniczej r. 1922 (wyd. IV) str. 93. Zgadza się z nim najnowsze wydanie „Ksiąg" w opracowaniu prof. **Konrada Górskiego.** (Spółdz. Instytutu Wydawniczego, 1947, str. 123).

Tad. Stan. Grabowski

KOMUNIKAT

Jury konkursu im. Ksawerego Pruszyńskiego zawiadamia, że z przyczyn technicznych zmuszone jest opóźnić ogłoszenie wyników konkursu.

O TWÓRCY POMNIKA MICKIEWICZA

WIELKI rzeźbiarz francuski, twórca pomnika Adama Mickiewicza, Antoni Bourdelle, wkrótce już otrzyma muzeum godne swego imienia. Podczas gdy w Paryżu kończy się budowę gmachu przeznaczonego na ten cel, sława imienia Bourdelle'a, który, według słów Anatola France, był największym człowiekiem swojej epoki, po blisko dwudziestoletnim zapomieniu zwolna odradza się we Francji i w całym świecie. W najbliższym czasie Poitiers i Valenciennes organizują wystawy dzieł Bourdelle'a, place Montauban i Barantin zdobią jego pomniki a nieomalże wszystkie miasta niemieckie pragnęłyby urządzić u siebie wystawę 21 piersi i studiów, jakie wielki rzeźbiarz poświęcił Beethovenowi.

Antoni Bourdelle urodził się dnia 30 października 1861 r. w Montauban, już jednak od drugiego roku życia przebywa w Paryżu, gdzie mieszka wraz ze swą matką i ojcem — stolarzem. Studia artystyczne rozpoczyna w pracowniach sławnych rzeźbiarzy Falguière i Dalou. Odbywa także dłuższą praktykę u Rodin'a. Wkrótce jednak uwalnia się spod wpływu swych nauczycieli i wkracza na własną drogę. Punktem zwrotnym w jego karierze było wystawienie w 1910 r. rzeźby Heraklesa — Łucznika. Dzieło to, początkowo bardzo zimno przyjęte przez znawców, miało przynieść mu wielką sławę w latach późniejszych. Od roku 1912 do 1920 Bourdelle ozdabia freskami i płaskorzeźbami gmach teatru na Polach Elizejskich. Równocześnie pracuje nad pomnikiem bohatera narodowego Argentyny, generała Alveara.

Jednym z ostatnich dzieł jego życia był pomnik Adama Mickiewicza, odsłonięty wkrótce po śmierci artysty. Śmierć zaskoczyła go zupełnie niespodziewanie w pełni sił i talentu. Zmarł w 1921 r. w Vésinet.

Obecnie w związku z bliskim już otwarciem muzeum imienia Bourdelle'a w Paryżu, pani Bourdelle udzieliła wywiadu przedstawicielom prasy francuskiej. Oto fragmenty:

Dzisiaj wprawdzie muzeum im. Bourdelle'a, urządzone w dawnej pracowni rzeźbiarza, jest bardzo ciasne, ale nieomal codziennie wprowadza się tutaj nowe ulepszenia. Najwięcej daje się we znaki brak właściwego oświetlenia i sal, w których mogłyby znaleźć miejsce największe dzieła Bourdelle'a.

Mieszkanie żony artysty jest pełne pamiątek; na ścianach pastele Bourdelle'a, na oknie głowy starożytnych rzeźb, znalezionych przez tego gorliwego zbieracza.

Pani Bourdelle opowiada wiele zabawnych historyjek i pokazuje fotografie swego męża z najróżniejszych okresów jego życia.

Antoni Bourdelle — rzeźba z roku 1917.

Później z powagą tłumaczy, jak pracował Bourdelle: „Niektórzy zarzucali mu, że naśladuje starożytnych greków lub że wzorował się na rzeźbie średniowiecznej, ale to wszystko nie było prawdą. Przestudiował on bowiem dokładnie prawa wspólne dla wszystkich prawdziwie wielkich dzieł sztuki, a potem stosował je w życiu. Pracę jego można było porównać do pracy pisarza. Jest bowiem rzeczą nie do pomyślenia, aby ktoś mógł pisać nie znając podstawowych zasad gramatyki, co nie wyklucza jednak, że każdy z literatów może i powinien mieć swój własny, odrębny styl."

„Mąż mój — ciągnie dalej p. Bourdelle — w stosunku z ludźmi był prawdziwym demokratą. Do robotnika zwracał się tak samo jakby przemawiał do króla. Nigdy nie rozkazywał, zawsze prosił. Zjednało mu to miłość całego otoczenia. Poważano go w naturalny i niewymuszony sposób. Bourdelle nie palił papierosów, a pomyślcie, że nigdy nie zdarzyło się, aby któryś z robotników zapalił w jego obecności. Nie robili tego jednak z powodu jakiegoś zakazu, ale dla głębokiego szacunku, jaki mieli dla swego mistrza. Gdy któryś z jego pomocników przychodził go o coś zapytać, Bourdelle zawsze słuchał uważnie, a potem długo i cierpliwie wyjaśniał wszelkie wątpliwości".

Pani Bourdelle pokazała również teczkę z listami swego męża. Bardzo ciekawy jest jeden z ostatnich jego listów skierowany do pani Vargas. List ten wysłany na pięć dni przed śmiercią ukazuje nam Bourdelle pełnego sił żywotnych, myślącego o nowych pracach.

Bourdelle, wspaniały rzeźbiarz, doskonały nauczyciel, nie zaznał chwały za życia. Obecnie jednak krzywda, jaką mu wyrządzono, zostanie naprawiona. Bourdelle będzie miał swoje muzeum.

I. K.

Legion Mickiewicza nad Odrą i Wartą

(*Dokończenie ze str. 12*)

rze dzieł Mickiewicza, urządzały akademie, odczyty. „W związku ze sprowadzeniem zwłok Mickiewicza na Wawel Tow. Polsko-Katolickie we Wrocławiu postanowiło na posiedzeniu 22,6, 1890 wydelegować do Krakowa Feliksa Górnatowskiego, a zamiast wieńca — głosi uchwała Zarządu — zakupione będzie popiersie Adama Mickiewicza dla Towarzystwa i 50 egz. „Pana Tadeusza", które w dniu uroczystości rozdane zostaną" (z cyt. rozp. J. Kor).

Najwspanialej jednakże i w formach najbardziej masowych przebiegała mobilizacja polskości pod hasłem Mickiewicza nie we Wrocławiu, ale na Górnym Śląsku i na Opolszczyźnie. Świadczą o tym wyjątkowo liczne, w porównaniu z innymi regionami, ludowe wydania dzieł wieszcza, świadczą, o tym mickiewiczowskie uroczystości, urządzane przez chłopów i robotników, inscenizacje amatorskie jego utworów, świadczy „Homer Śląski" ks. Norbert Bonczyk, który swym „Starym Kościołem Miechowskim" stanowi świetny przykład, jak dzieło mickiewiczowskie weszło, po prostu wtopiło się w psychikę najniższych warstw społecznych, niedawno jeszcze pogrążonych w letargu, a już w ósmym i dziewiątym dziesiątku lat minionego stulecia dojrzałych do samodzielnego i twórczego przetwarzania najwyższych osiągnięć kulturalnych narodu. Także świadczy o tym całe życie i dzieło oryginalnego pisarza i działacza polskiego bernardyna Euzebiusza Stanecznego, kształtującego nie tylko swoje prace literackie podług Mickiewicza, ale żyjącego po prostu na wzór i w stylu ks. Robaka, z momentami pokuty życiowej, ekspiacji itp.

Mówią każdym numerem przez dziesiątki lat wydawane gazety takie jak „Katolik" bytomski, jak „Gazeta Opolska", jak socjalistyczna „Gazeta Robotnicza" wydawana w Berlinie, lecz z przeznaczeniem głównym na Śląsk, jak „Nowiny Raciborskie", „Gwiazdka Cieszyńska" i inne, w których myśli, idee i natchnienia mickiewiczowskie znajdowały się w zespole argumentacji propagandowej, społeczno-patriotycznej na naczelnym miejscu; Mickiewicz był w mowie wiecowej, w artykule politycznym, w świątecznym okolicznościowym artykule bożonarodzeniowym, w szaradzie, w krzyżówce nawet. Mówi o tym nie znany nigdzie indziej na terenie Polski, w tak żywiołowej postaci rozwijający się tu ruch „elsów" czyli neofilaretów, w którym aktywistami byli Wincenty Lutosławski, Stanisław Pigoń, Kornel Makuszyński i czarna węglowa i żelazna brać, znajdująca czas na wieczorne dyskusje i odczyty, na pamięciowe opanowywanie długich tekstów mickiewiczowskich. Mickiewicz jeszcze dzisiaj jest w staropolskich domach na Opolszczyźnie w wydaniu plebiscytowym Karola Miarki, właśnie w wydaniu p l e b i s c y t o w y m, aby jak generał zachodnio-polskiego wojska ludowego mógł przewodzić w trudnej kampanii plebiscytowej 1921 r. z szowinistami niemieckimi.

Rola Mickiewicza na naszych zachodnich ziemiach była podobna do roli manifestu. Na Warmii i Mazurach działo się nie inaczej niż na Śląsku, choć natężenie i powszechność zjawiska były mniejsze. Podobnie działo się wśród ludu wielkopolskiego. Tutaj w zachodniej Polsce znalazł autor „Ksiąg narodu i pielgrzymstwa", można rzec bez przesady, swój najbliższy dom. Prawdziwy dom, a nie pielgrzymi przytułek na krótko. Dom, który dziś jest tutaj szczególniej dlań otwarty.

*

Mickiewiczowską „przyszłość" my d z i ś realizujemy od roku 1915 w trudzie i walce, pokonując zwycięsko przeszkody materialne oraz walcząc z oporami natury zewnętrzno-politycznej. Opory te będą tak długo wyrastać i trwać, dopóki politycy zachodni nie pojmą, że nasze ziemie zachodnie nie są koniem cyrkowym, na którego wskoczyliśmy, gdy go wypuszczono na arenę. W historii nie dzieje się nic z przypadku, a w rzeczach koniunktury nie uczestniczą narody.

Ziemie zachodnie tkwią w żywym organizmie polskiej kultury, przenikając wszystko, co ta kultury stanowi istotną treść i wartość oraz z drugiej strony świadomie czy nieświadomie podlegając najbardziej bezpośrednio oddziaływaniu jej prawdziwie wielkich reprezentantów.

I stąd właśnie ów mickiewiczowski Legion nad Odrą i Wartą.

Zbyszko Bednorz

LIGUR

UAKTUALNIAMY MICKIEWICZA

KIEROWNICTWO literackie naszego pisma, chcąc się przysłużyć sprawie uaktualnienia Mickiewicza, rozpisało między wybitnymi pisarzami i publicystami współczesnymi zamknięty konkurs na powieść, nowelę, artykuł lub felieton. Z mnóstwa nadesłanego materiału, z kilkunastu powieści, kilkudziesięciu nowel i kilkuset artykułów wybieramy najcelniejsze fragmenty. Czytelnicy sami zechcą osądzić, która praca zapowiada się najciekawiej. Oczywiście, nagrodą dla wszystkich pisarzy, którzy wzięli udział w naszym konkursie jest wyłącznie satysfakcja uczestniczenia w tak pięknej i oryginalnie pomyślanej akcji. (Przy okazji zawiadamiamy ZAIKS, że honorariów za opublikowane niżej fragmenty nie będziemy przesyłali na konta autorów, lecz zasilimy zebraną w ten sposób sumą kasę T.P.H. tzn. Towarzystwa Popierania Humoru). Wydawców natomiast prosimy o łaskawe zainteresowanie dla sygnalizowanych tu przez nas koncepcji pisarskich. Autorom wyrażamy głęboką wdzięczność za współpracę.

GOŁUBIEW
(improwizacja opowiedziana własnymi słowami)

Szło. Więc chycił. Jak rozległe płoleżała pod nim ziemia. I świat. Wszystko. Wzniósł się na szczyt. Ręce jak na czepigach radła złożył na szklanych harmoniki kręgach Zagrał. Cierpienie wżarło mu się w trzewia. Skowyt wyrwał się z gardzieli. Ryknął jak raniony tur. W powietrzu niemal zapach dymiącej juchy. Za miliony cierpiał. Bzdro. Omło. A oni parli. Jak wir w dąb. Umiotło ich. Wżdy Siapiło kielniawo. Grdnął resztką sił. Słowo jak kleszcz wpiło się w mózg. Chlust. Mdlnął.

A nad nimi walił szum. Grało hurnie. Szło. (l)

JAKIMIAK ZYGMUNT
(fragment artykułu o Mickiewiczu)

...Nie obchodzi mnie co wypisują po książkach i gazetach różni niby to mówcy i uczeni, niech sobie ich poglądy szanują i przyjmują za dobrą monetę ludzie o mętnym spojrzeniu i brudnych sercach — dla mnie ta cała pisanina to stóg siana, karma dla zwierząt. Dosyć straciłem godzin i dni w czasach szkolnych nad Mickiewiczem by dziś wracać do czytania jego rzeczy. Poezja, w której lwia część wypływa ze zgniłych, niemoralnych poezji erotycznych a reszta jest perfidnym usiłowaniem obcych rodzimemu zaściankowi treści pod pozorem chwalby tegoż zaścianka — ta poezja na pewno mnie nie skusi. A zresztą jak można czytać a cóż dopiero dawać dzieciom do rąk u'wory paskudnika, który liczył kochanki na tuziny, podobno zdradzał żonę (jestem o tym przekonany) i w ogóle miał podejrzane znajomości. Cała ta szumna historia Filomatów, Filaretów to przecież zwykłe ksiuty na zielonej trawie i rozpusta. I reszta życia taka sama. Czas jest zbyt cenny, by go trwonić a jeśli ma się niekiedy ochotę na poezję, to trzeba poznawać wielkie dzieła wielkich choć zapomnianych twórców. Ja na przykład latem siedzę z dziećmi na łące i wdychając czysty zapach pobliskich obór czytam na głos „Zaczarowane koło" Rydla — to arcydzieło napisane przez bogobojnego wieszcza, któremu zgniłe pokolenia odmawiają nawet tego tytułu. (g)

ZAWIEYSKI
(fragment opowiadania „Na drugim dnie niepamięci")

Piotr spojrzał na Leonorę. Wiedział, że jej sprawa z Franciszkiem była sprawą ostatecznej wiedzy o człowieku Gdy rozmawiał ostatnio z Gracjanem o tym, co poróżniło świat Marianny i świat Bronisława, doznał nagle olśnienia, że decydującą w tym udział miała ostatecznie Krystyna i Witold.

Czuł teraz wzrastającą w nim wzniosłość tej chwili. Falowało w nim wzruszenie głębi przeczystej jak toń zapomnianego przez świat i ludzi jeziora. Odbijały w tym jeziorze srebrne uśmiechy smutnych gwiazd. Jedna z nich jaśniała blaskiem szczególnie intensywnym. Pojął, że gwiazda ta była gwiazdą jego przeznaczeń.

Pochylił się w fotelu i w mroczniejącą ciszę wieczoru wyszeptał słowa tamtego: żeby mnie sądzić, nie przy mnie trzeba być, lecz we mnie.

I w słowach tych Adam był z nimi. (l)

JÓZEF MARIA ŚWIĘCICKI
(fragment z artykułu „Życie rodzinne Adama Mickiewicza")

...Nie wdaję się tu w szczegółową analizę form, jakie przybierał w swym historycznym rozwoju patriarchalizm okolic Nowogródka i nie rozważam aspektu, jaki przybrał on na przełomie XVIII i XIX wieku, gdyż uczyniłem to w szeregu prac, do których łaskawego czytelnika odsyłam. Faktem jest, że patriarchalne tradycje były wieszczowi zupełnie obce, i to wbrew wszelkim powierzchownym sądom jego współczesnych a nawet świadectwu własnych dzieci. Na dowód przytoczę tu na pozór drugorzędny w swej treści, a przecie jakże istotny przekaz. Otóż w pamiętnikach Quineta znajdujemy następujący passus, niestety nie opatrzony datą, łatwą zresztą do ustalenia: „O wyjeździe Mickiewicza do Lozanny dowiedziałem się dziś od naszej służącej, której siostra brała od nich bieliznę do prania". Dosłownie „brała", nie chodziła do prania. I mówić po tym o życiu rodzinnym! A owe osławione podróże, gdyby mało było powyższego przykładu. Rozumiem konieczność wyjazdu pod przymusem, wygnania i emigracji, ale owe wszystkie nieusprawiedliwione wojaże z Nowogródka do Wilna i stamtąd do Kowna zadecydowały o rozluźnieniu hamulców patriarchalno-zaściankowych, powodując późniejsze bezprzedmiotowe wędrówki po Europie, jakże spłycające talent, charakter a przede wszystkim moralność i poczucie rodzimej odpowiedzialności... (g)

ŻUKROWSKI
(fragment z powieści „Woń minionego")

W pokoju pachniało starym ...eblami, lombardem i zeszłorocznym śniegiem. Do zapachu tego dołączyła się woń kobiecego zdenerwowania. Ksawera poprawiła kryzę przy dekolcie. Pochyliła się nad świecą. W migotliwym świetle pomnożonym przez połysk ciężko kutego kandelabra rozkwitła nagle słodka gałąź jej ramion, a niżej zagrała kraglą jędrność dojrzałego owocu. Nerwowo obciągnęła suknię na biodrach. Siadła. Fotel przyjął ją w siebie łapczywie i ciepło.

Ktoś wchodził po schodach. Poznała zapach surdutu Adama. Jeszcze nie wszedł, ale już czuła ten fluid, który miał w sobie coś sekretnego i drażniącego Gdy Adam stanął w drzwiach, fotel musiał ją oddać tamtemu. Świeca pykała gwałtownym pragnieniem, lecz zgasła. (l)

KISIEL
(fragment felietonu pt. „Mickiewicz — po mojemu")

Nie rozumiem dlaczego ludzie boją się stawiać Mickiewicza na głowie. Wyobraźmy sobie jak wielkie perspektywy poznawcze otwierałoby to przed nami. Choćby sprawa pomników. Zamiast oglądać tę samą postać z dłonią na sercu i czołem dumnie wzniesionym ku górze, widzielibyśmy brylę o innym niemal sensie stereometryczno - plastycznym. Ku górze sterczałyby dwie małe kolumny — nogi O cokół wsparta byłaby mała kragłość — głowa. Ileż innych skojarzeń, jakie bogactwo wizualnej nowości! Jak oszałamiająca lekcja rozsądku odwróconego w kategoriach konwencjonalnej logiki. Bo przecież Mickiewicz postawiony na głowie pozostałby — mimo wszystko — Mickiewiczem.

Wspomniałem o tym w jednym z felietonów, o którym nawet pisały pisma zagraniczne, tylko w naszej zaściankowej Polsce człowiek inteligentny i prawdziwie kulturalny woła na puszczy. Cóż, wolę już wrócić do swojego zacisza Stanę na głowie i zdobędę satysfakcje nowego spojrzenia na świat. Aha! Zyg-zyg marcheweczka. (l)

JAN DOBRACZYŃSKI
(fragment z powieści biograficznej pt. „Orle pióro")

...Wiśniowy cybuch fajki zgrzytał mu cicho w ustach, gdy szedł tak, wolno, wzdłuż żywopłotu okalającego książęcy park. W oddali, po drugiej stronie połyskliwej tafli stawu rysowała się ostra ciemno-zielona linia świerkowych lasów, a nad nią krwistą falą rozlewał się zachód słońca. W pewnym miejscu żywopłot urywał się nagle, tworząc jak gdyby pozbawioną drzwi furtę, po czym znów ciągnął się dalej swą szeleszczącą, jak odgłos wróblich skrzydeł, ścianą zeschłych liści. Wszedł między kolumnadę wysmukłych pni, wyprostowanych i milczących jak wojsko na paradzie, przerażających swym zbiorowym bezruchem. „Colosseum" — uderzyło go znienacka wspomnienie, jak ostry kamień. Odegnał je potężnym wysiłkiem woli, nie dopuszczając, by spoza antycznej wizji zrujnowanych kolumn wyłoniły się diabelsko zielone źrenice Ewy. Tamta przeszłość skonała i nic jej nie wskrzesi. Wtem dojrzał między drzewami coś niebieskiego. Zadrżał i przystanął. Czuł jak gęsty pot wzbiera mu na czole a w głębi sumienia rozbrzmiewa wezwanie do odwrotu. Zapomniał, nie rozumiał, po co tu przyszedł, co go tu przygnało. Uczuł niespodziewanie, że to, co znaleźć chciał w tych alejach, nie jest szczęściem, że sięgać mu po nie wolno. Podeszła do niego leniwym, elastycznym krokiem odżywionej kotki. Opuścił oczy i nie patrząc na nią pochylił się nad ręką pachnącą aromatyczną, lekką perfumą. Znał ten zapach — taką samą woń wychuchało, słabszą tylko trochę, mydło, którym szorowano jego dzieci. Przez plecy przebiegł dreszcz, przeszywający i bolesny.

— Madame — wybełkotał Mickiewicz.

Ujęła go pod rękę, obciągniętą szorstkim materiałem redingote'u i zmusiła, by usiadł na wyleniałej trawie. Milczeli oboje. Widział jak pod jej szeroką, u dołu sfałdowaną suknią falują muskuły niewidzialnych łydek. Nagle oparła swą głowę uczesaną w misterne loki o jego pierś. Odsunął ją delikatnym ruchem. Krew pulsowała rytmem wojennego marsza. Nad czym się zastanawiasz, głupcze — szeptał głos jakiś. Lecz znowu wyłonił się tamten obraz: wymyty świeżo Władzio w długiej koszulinie klęczy przed łóżkiem i odmawia pacierek. Zerwał się, brutalnie wypuszczając jej dłoń ze swojej. Spojrzała nań zdziwiona, zamglonym spojrzeniem, rozwierając swe pełne wargi.

— Nie — potrząsnął głową — nie, moja mała, skrzywdziłbym cię... (g)

ZYGMUNT LICHNIAK
(fragment „Porachunków z przeszłością")

Pomijając nawet intelektualną funkcję tego abstrakcyjnego zabarwienia należy, odrzuciwszy sumę intelektualnych percepcji, zastanowić się nad sumaryczną wartością wyodrębnionych tu elementów. Wyraźnie dająca się wyeliminować z natłoku metafor perseweracja wspomnianego motywu nie kolidująca z resztą obrazu, imanentnie z nim złączona w zunifikowanej kompozycji, preponderuje pod względem tak formalnym jak i treściowym. Parazytologiczne akcenty tego fragmentu pozostają w asonatywnym związku z nazwiskiem Robaka, którego twarz błyska zza krzaka. Bezpośrednie przejście do treści konsumatywnych afirmuje tę weryfikującą się łatwo hipotezę. Sądzę, że dalsze elukubrowanie na ten temat, wobec jego transparentności byłoby tautologiczną truizacją wniosków tej per reductio ad absurdum sublimicznie przeprowadzonej analizy hygroskopijno-semantycznej, byłoby zwykłym kawoławizmem. (g)

BRANDYS
(fragment pamiętników)

15.X. Byłem dzisiaj na Place d'Alma. Wspaniały jest ten Bourdelle! Aż dreszcz przebiega po plecach zimną strugą zachwytu.

16.X. Byłem tam znowu. Obawiam się, że wejdzie mi to w krew.

18.X. Wchodzi mi to w krew.

Codzień odkrywam nowy Paryż. Chłonę go z żarłocznością tagocyta u Hieronima. Wszystko wciąga mnie w przeszłość, w historię. Czas płynie naprzód a jednak osiada swą wielkością na rzeczach i ludziach i pozostaje. To groźne i urzekające zarazem.

25.X. Mon Dieu! Chodzę po tych samych ulicach, po których chodził le plus grand poète polonais. Odżył dla mnie w wielkim Bourdell'u. Voilà. (l)

NAŁKOWSKA
(wyjątek z powieści „Dobra nienawiść)

Xylofon Moxykański strząsnął zbłękitniały popiół do malachitowej popielniczki. Dłoń jego przypominała wysuszone skrzydło nietoperza a ostry profil natchnionego lwa przywodził na myśl wizerunki z asyryjskich monet. Grała w nim rasa, inteligencja i namiętność przyczajonych myśli.

Placyda Xeńska śledziła go spod drżących rzęs. Różową, przejrzystą dłonią poprawiała machinalnie delikatną permanente indéfrisable. Druga dłoń spoczywała na safianowej okładce „Sonetów Krymskich". Gdy poczuła na strunach swych czujnych palców chłód jego dotyku, wiedziała, że znowu wrócił do niej pod przymusem cierpkiej prawdy tamtej poezji. (l)

WYKA
(fragment z rozprawy „Mickiewicz na skrzyżowaniu")

Rozpatrując twórczość Adama Mickiewicza trzeba przede wszystkim wyspecyfikować kilka zasadniczych linii realizmu romantycznego. Rozróżniamy takich linii siedem oraz trzy podlinie, które są wypadkową współdziałania czterech linii głównych z owych siedmiu linii zasadniczych oraz ukształtowania geo-politycznego Europy w latach 1820—1855. Dwie linie z czterech głównych linii, które są częścią owych siedmiu, stanowią zasadniczy trzon realizmu balzakowskiego i sensu stricto romantycznego. Romantyzm typu chateaubriandowskiego stanowi reperkusję artystyczną ideologii prawicowej, natomiast pozostałe odpowiadają poszczególnym układom socjologicznym rodzimych burżuazji. Na skrzyżowaniu tych wszystkich linii spotykamy się z twórczością Mickiewicza. (l)

STANISŁAWA SZNAPER ZAKRZEWSKA
(fragment z powieści „Jad 45⁰)

Walenty pochylił się nad książką i jął powoli przesuwać wzrok po stronicach. Czuł, że grdyka porusza mu się słodko, niczym dojrzała wiśnia. Czytał te przecudne wiersze, oderwany od wszystkiego, zatopiony w nich bez reszty. Ale nagle natrafił na słowa spoza których wytoczyło się koszmarne wspomnienie, zamajaczył potworny obraz przeszłości:

...Wybiera z nich największy kufel kryształowy
(Dostał go sędzia w darze od księdza Robaka)
Wódka to gdańska, napój miły dla Polaka...

Oderwał oczy od książki, zapatrzył się w przestrzeń minionego czasu.

Ciemne, zadymione wnętrze knajpy, Kasperczak pręży swój czerwony kark nad bufetem. „No cznia, panie Gałąź, jeszcze jednego, nam Polakom wódka nie zaszkodzi". I jeszcze jeden i jeszcze jeden. A później cały bar „Pod kiwką" zaczyna się kołysać w coraz zawrotniejszym tempie i powlekać mgłą. Kasperczak potrząsa nim, coś mówi, ale on, Walenty, nie rozumie słów: zdradziecki alkohol wstrząsnął już do tylnej części pierwszego zwoju skroniowego i zalewa drugi zwój lewej półkuli. Zatoczył się pod ścianę, stracił równowagę i upadł. Czysta wyborowa opanowała już ośrodki psychomotoryczne, bulgotała w przednim zwoju środkowym i kropliła na płacie przyśrodkowym...

Odegnał wysiłkiem woli to wspomnienie i pochyliwszy się nad przerwaną lektura, smakował artystyczne doznanie wydobywające się z następujących po sobie wierszy. Uczucia wyższe pracowały w nim z dawną młodzieńczą precyzją. (l)

MIECZYSŁAW JASTRUN

Mieczysław Jastrun w odpowiedzi na naszą ankietę nadesłał projekt, którego zasadnicze tezy podajemy w skrócie:

1) Wydać „Mickiewicza" M. Jastruna z ilustracjami T. Gronowskiego.

2) Postawić kandydaturę autora „Mickiewicza" w związką z przyszłą nagrodą państwową.

3) Poszerzyć cokół wszystkich pomników Mickiewicza, tak, aby znalazło się miejsce na dwie osoby.

Sugestie te za pośrednictwem naszego pisma przekazujemy opinii publicznej. (l)

SYLWETKI I ZDARZENIA

Adam

NA chrzcie świętym w kościele parafialnym w Nowogródku otrzymał imię naszego pra-rodzica, Adam, a Adam, po hebrajsku Ad'm, znaczy człowiek i ma w gematrii swój symbol:

czterdzieści i cztery.

W dziejach Polski byli odeń światlejsi, na przykład Konarski i Staszic, byli uczeńsi, na przykład Śniadeccy, dzielniejsi, na przykład Żółkiewski i Poniatowski, lepsi politycy, na przykład Zamoyski, ale każdy był tylko sobą, tylko reformatorem, naukowcem, hetmanem, politykiem i nie posiadał tej — jakże ludzkiej — Jego pełności.

Było w Nim wszystko, jak w pleromie gnostyków.

Kimkolwiek wypadło Mu się stawać i kiedykolwiek, studentem uniwersytetu czy profesorem, filomatą czy towiańczykiem, wygnańcem z Ojczyzny czy obywatelem świata, urzędnikiem czy dziennikarzem, „statystą" czy żołnierzem, konserwatystą czy postępowcem, zawsze wypromieniowywał z siebie człowieczeństwo w niczym nieuszczuplone, ani w dobrem, ani w złem, to radosne, to bolesne miłowanie.

Albowiem pełny człowiek to we wszystkim miłość.

Miłość zaś u Niego, owa która koronuje wszystkie inne ziemskie uczucia włącznie z uczuciem do wybranej kobiety, nie spoczęła na jednym litewskim zaścianku, choć wyśpiewa go później w najdoskonalszym z kształtów poetyckich i w aureoli niebiańskiego nieomal piękna. Podsycona przez niezaspokojoną tutaj, na ziemi, namiętność zmysłową, co słabych i marnych doprowadziłaby nawet do samobójstwa, p r z e m i e n i ł a się — dzięki strasznemu cierpieniu osobistemu, które zdołał przełamać—w żadnych granic nie znającą miłość ofiarną do Polski.

Zaiste! Któż mógł przewidzieć, że romantyczny arcykochanek, który t a m t e g o wieczora opuszczał altanę, srebrny park tuchanowicki i Tuchanowicze Maryli, żegnany tak obojętnymi słowy, powie — miną lata — w ciszy zimnego drezdeńskiego pokoiku:

— Ja kocham cały naród!

I udowodni życiem i dziełem, że nie tylko Naród. Że kocha cała ludzkość.

Mickiewicz.

Gdzie szukać odpowiedzi na pytanie, dlaczego właśnie On, syn mizernego adwokaciny z zapleśniałej dziury prowincjonalnej i wnuk zwykłego ekonoma, kwiatem jest i kwintesteną naszej kultury? Dlaczego w Jego olśniewającym geniuszu łączy się organicznie to, co dawne, z tym, co nadchodzi lub dopiero nadejdzie, doświadczenie stuleci z tęsknotą stuleci?

Spiritus flat ubi vult.

Na paryskim Placu Alma wznosi się pomnik. Postać, zamaszysta w ruchu, rozwiany włos, kij pielgrzymi w ręku. Postać nie poety — raczej proroka wśród ziemskiej pielgrzymki. Nie inaczej chyba wyglądał Mojżesz, gdy wiódł naród do Ziemi Obiecanej.

Mickiewicz.

Idźmy za Nim.

(Kali)

Franciszek WITOWICKI

ZAMKNIĘCIE DYSKUSJI O TATRACH

KWADRUPLIKA I REPLIKI

Wypowiedzią p. Witowickiego i głosem dyskusyjnym p. Prus-Wiśniowskiego zamykamy obszerną debatę na temat turystyki wysokogórskiej, która z łamów „Dziś i Jutro" przeszła fragmentarycznie i na szpalty „Tygodnika Powszechnego". Wieczny temat: czy udostępniać góry turystom wzbudził ożywioną dyskusję, którą tylko częściowo mogliśmy na naszych łamach wykorzystać. Sądzimy, że różnorodne głosy wniosły wiele nowych i cennych ostrzeżeń uwypuklając jednocześnie nowe społeczne oblicze turystyki współczesnej.

Redakcja

NAJZUPEŁNIEJ podzielam wątpliwości Wuj'a wyrażone w jego karcącym mnie artykule „Majestat i Tramwaj" („Tygodnik Powszechny" z 14.X.1951 r. Nr 43 (343), czy dobrze czyni zaszczycając mnie swą tripliką, gdyż mimo zarzucania mi, że nawet „w przybliżeniu nie znam przedmiotu dyskusji", i że „nie zwracam uwagi na to, co mówi przeciwnik" zanurza jednak pióro w atramencie, dając tym samym nie tylko dowód niezwykłej dla mnie łaski, ale wręcz zaprzeczając samemu sobie. Nawet gdy wyraźnie i z uprzejmością podkreśla, że czyni to *tylko*, z uwagi na czytelnika, a nie autora-intruza poważającego się zapuścić żórawia w teren zarezerwowany jedynie dla wielkich bonzów taternictwa. Wyobrażam sobie, że Wuj jako niewątpliwie białobrody taternik, pamiętający po dwakroć i więcej wiosen tego padołu niż jego niefortunny polemista, jest oczywiście w swym mniemaniu szczególnie predestynowany do ferowania sądów i karcenia śmiałków wkładających palce w ostępy spraw Zakopanego i Tatr.

Jest w tym właśnie zakresie szczególny snobistyczny ekskluzywizm, uważający, że tylko pewni ludzie mogą zajmować się wypowiadaniem sądów i poglądów o sprawach tatrzańsko-zakopiańskich, inni bowiem w żaden sposób „nie mogą" znać się na Tatrach. Wyrazem takiego nastawienia, są właśnie obie wypowiedzi Wuj'a „Park Narodowy czy Lunapark" „Tyg. Pow." z 9.IX.1951 r. Nr 36 (338) i ostatnia.

Gdy pisałem mój artykuł „Zbliżmy Wawel do Giewontu" („Dziś i Jutro z 26.VIII.1951 r. Nr 34 (300), chodziło mi o cztery rzeczy: 1) ulepszenie i przyspieszenie komunikacji kolejowej Kraków—Zakopane, 2) polepszenie warunków mieszkaniowych w Zakopanem, 3) toż samo w odniesieniu do lokali wyżywienia, 4) zachęcenie ludzi pracy z regionu Wielkiego Krakowa i Nowej Huty do korzystania z bliskości gór, na co nie mogą pozwolić sobie miasta o szczególnym nasileniu warstwy pracowniczo-robotniczej, jak Warszawa, Łódź, Poznań, Lublin, Bydgoszcz itd..

Wydawać by się mogło, że tego rodzaju podejście, może jedynie spotkać się u każdego rozumiejącego czasy i ludzi ze zrozumieniem i życzliwym poparciem.

Przypatrzmy się, co z tego zrobił Wuj.

W artykule „Park Narodowy czy Lunapark" („T. P." Nr 36 (338) pisze, że „jest gorącym zwolennikiem udostępnienia Tatr jak największej ilości ludzi". — Bardzo to piękne i pozornie kategoryczne, ale już zaraz w następnych wierszach znajduje się zastrzeżenie „żeby to byli ludzie, którzy *naprawdę* mają ochotę iść w góry" itd. Jednym chytrym słówkiem „naprawdę" cała wartość poprzedniej deklaracji zostaje przekreślona. Stwierdzam, że jeszcze nie wynaleziono aparatu ustalającego w sposób bezsporny, kto „naprawdę", kto „na niby", a kto tylko „tak sobie" — „ma ochotę iść w góry". No i w myśl Wuj'owych recept być dopuszczonym do prawa przyjazdu lub też nie, do Zakopanego ze wszystkimi stąd płynącymi konsekwencjami.

Sprawa kolejki na Kasprowy Wierch, takie znajduje podejście u Wuj'a („T. P." j.w.): „Być może — **chociaż wcale nie jestem o tym przekonany** — że jej plusy jakoś zrównoważyły minusy i t.d.". Znowu to samo pełne zastrzeżeń podejście do sprawy. Motyw zaśmiecania Tatr, setki wypadków narciarsko-wycieczkowiczowych. I tu Wuj zaleca mi zapoznanie się ze statystyką wypadków, których liczba dochodzi „od czasu zbudowania kolejki" do 600 rocznie.

Otóż posłuchałem tej mądrej rady i zgłębiwszy tajnie statystyki tatrzańskiej, dzielę się z łaskawymi czytelnikami:

Kolejki zakopiańskie przewiozły osób:

rok	na Kasprowy Wierch	wzrost w %	na Gubałówkę	wzrost w %
1938	82.000	—	brak danych	—
1946	142.000	73	168.000	—
1947	153.000	87	213.000	27
1948	180.000	220	310.000	85
1949	226.000	276	386 000	230
1950	378.000	461	695.500	415

Widzmy więc, że ruch wzrasta w cyfrach zawrotnych dochodząc w 1950 r. do imponującej cyfry dla obu kolejek **1 miliona 73.000 osób.**

Jak się przedstawia statystyka wypadków?

Tatrzańskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe zaopiekowało się w minionym sezonie około 150 wypadkami. Szpital zanotował około 500 do 600 złamań.

Z powyższych cyfr około 60% wypadków przypada na Kasprowy Wierch, około 15% na Gubałówkę, reszta na pozostałe rejony Tatr.

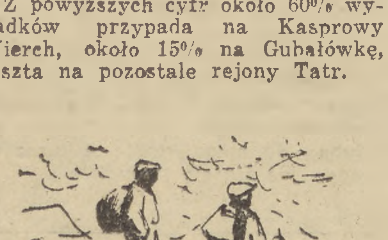

Obliczywszy jaki jest stosunek procentowy wypadków na Kasprowym Wierchu w stosunku do ilości osób które nań wyjechały, okaże się że te 450 jakie podaje statystyka, stanowią w 1950 r. zaledwie 1,19 pro mille ogólnej ilości osób przewiezionych kolejką, czyli 11 osób na dziesięć tysięcy!

Jeśli idzie o Gubałówkę to te 15% wypadków jakie tam zaszły stanowią w stosunku do 695.500 osób które wyjechały kolejką 0,16 pro mile czyli na dwadzieścia tysięcy — trzy osoby!

Otóż okazuje się w sposób niezbity, bo statystyczny (jak się tego domagał Wuj), że w stosunku do ilości ogólnej osób, które wyjechały kolejkami, odsetek wypadków jest śmiesznie, wręcz znikomo mały. Wszelka dyskusja na temat tragicznych skutków zbudowania kolejek w Tatrach, jak sami Czytelnicy ocenią — staje się bezprzedmiotową.

W dodatku moje cyfry sięgają roku 1950. Ale uzupełnia je Janusz Meissner w swej „Statystyce Zakopiańskiej i nowej nartostradzie" ogłoszonej w „Przekroju" z 11.XI. 1951 r. Nr 344 str. 9, z której dowiadujemy się, że w jednym tylko III kwartale 1951 r. kolejki zakopiańskie przewiozły 650.000 ludzi.

Proszę teraz porównać powyższe z grymasami wszystkich, którzy bij zabij walczyli przeciwko budowie kolejek linowych na Świnicę najpierw, na Kasprowy potem, na Gubałówkę w końcu i zestawić to z wątpliwościami Wuj'a. Myślę, że położymy im kres — wskazując, że życie samo swymi wzrastającymi do niebywałych rozmiarów cyframi frekwencji, daje najlepszą odpowiedź.

Nie jestem narciarzem i zagadnienia z tej dziedziny nie są „z mojej parafii", ale myślę, że roztropni ludzie, którzy czuwają nad ruchem zakopiańsko-taterniczym, z pewnością nie mają mentalności Wuj'a skoro mimo owych 600 wypadków rocznie nie lękają się „dewastacji i zaśmiecania Tatr w okolicy Kasprowego" i budują nową, trzecią z kolei nartostradę!

Wuj twierdzi, że podanie przeze mnie przykładów kolejek linowych szwajcarskich nie jest miarodajnym, gdyż „są to typowo kapitalistyczne przedsiębiorstwa" Cóż z tego? W tamtym ustroju własność i eksploatacje oraz zyski, posiadają akcjonariusze U nas są one własnością państwa albo lepiej społeczną. W pierwszym przypadku zyski inkasuje paru rentierów, w drugim państwo. Ale i jedne i drugie muszą być prowadzone na zasadzie rentowności. Wątpię bardzo czy zasady rozumnej gospodarki mieniem publicznym pozwoliłyby na utrzymywanie ruchu obu zakopiańskich kolejek, gdyby się okazało, że nikt z nich nie korzysta i eksploatacja jest deficytowa. Jeśli jest inaczej, to dowodzi to, iż odpowiadają one potrzebom społecznym szerokich mas (tak jest proszę Pana Wuj'a) i że spełniają swe funkcje w sensie społecznym, będąc równocześnie dochodowymi.

Wyznaję, że dziwi mnie, dlaczego na moje życzenie aby szerokie koła ludności Krakowa i Nowej Huty „w obliczu majestatu natury i w czystym górskim powietrzu, z dala od dymów i kurzów wielkomiejskich nauczyły się wznosić ducha i myśli do Stwórcy tych cudów" — Wuj odpowiada przytaczając słowa Jana Gwalberta Pawlikowskiego z przed lat 15. „Co za zdobycz kultury? — tak sobie siedzieć na Kasprowym w restauracyjce, przy kawusi z kożuszkiem lub pianką, z Ikacusiem w ręku, oczywiście gramofon i radio... i tak z bliska a wygodnie łypać oczkiem do Pana Boga".

Prof. Jan Gwalbert Pawlikowski jest człowiekiem niesłychanie zasłużonym i godnym najwyższego szacunku, ale przeciwstawianie jego słów moim przez Wuj'a, zakrawa na kpiny, nie w stosunku do mnie, lecz w stosunku do intencji jakie wyraziłem i osób, pod adresem których pisałem me słowa.

Wywody Wuj'a nie mogą zatrzeć we mnie wrażenia, że na dnie całej polemiki leży dość osobliwe motto. Utworzył jej w swoim czasie klan, pragnący utrzymać Tatry i dostęp do nich na przesłankach elitarnej ekskluzywności. Gdy dzisiaj stosunki zmieniły się diametralnie i dzięki energii oraz szerokim horyzontom nowych ludzi, coraz więcej Polaków może korzystać z uroków zakopiańskich, wszystkie zarzuty i krzywienia się mają cechy głosów pogrobowców, dawno minionej epoki...

Warto przeczytać takie reportaże jak Wandy Pieńkowskiej „Zakopiańskie wczasy jesienne przynoszą zdrowie ludziom pracy" („Słowo Powszechne" z 27.IX.1951 r. Nr 256 (1598) lub „Zakopane zyskało nowych turystów" („S. P." z 24.X. 1951 r. Nr 279 (1621)), by dobrze zrozumieć jak słusznymi są moje postulaty.

Zarówno w wywodach Wuj'a, jak i w doskonałym artykule p. Tadeusza Wierzbickiego „O planowaniu w turystyce" („Dziś i Jutro" z 21.X. 1951 r. Nr 42 (308), którego poważne i rzeczowe wywody zasługują na uwagę, znajduję wspólny argument „Tatry polskie są małe". Jest to fakt obiektywny. Turystycznie rzecz biorąc wzmagający się ruch tatrzański jest nie tylko wynikiem poszerzenia zamiłowania do turystyki i sportów, ale również faktu, że ludność wzrasta a góry nie. Inaczej ciążył Kraków do Zakopanego gdy liczył 100.000 mieszkańców z początkiem stulecia, a inaczej gdy liczy ich 400.000 i gdy zapleczem Tatr stała się cała Polska. Aby ruch ten pomieścić w granicach Tatr polskich istnieje jeden środek zaradczy: taka organizacja dojazdów, pobytów itd. aby „chłonność" Tatr, która jest o wiele wyższą niż nam się wydaje, została w pełni wyzyskana. Dlatego podzielam poglądy p. Wierzbickiego na temat planowania w turystyce. Cały mój artykuł „Zbliżmy Wawel do Giewontu" („Dziś i Jutro" z 26. VIII.1951 r. Nr 34 (300) był przecież krytyką zaniedbań jakim podlega turystyka zakopiańska (przeważnie z winy czasów bardzo nawet już odległych), wskutek czego nie planowano w porę i odrabianie jest oczywiście potencjalnie trudniejszym.

Artykuły jakie w poruszonej przeze mnie sprawie napisali Dr Michał Straszewski, Dr Tadeusz Prus Wiśniowski i p. Janusz Andrusikiewicz dowodzą zgodnie, że wszyscy stoją na stanowisku wielkiego znaczenia jakie ma turystyka tatrzańska i bynajmniej nie zamierzają jej ograniczać, tak jak to pragnie Wuj. W szczególności dwaj pierwsi ukazując różnorodne aspekta sprawy, i nawiązując do wywodów p. Wierzbickiego zastanawiają się jak pokierować turystyką, by jak najwięcej ludzi mogło z niej korzystać i nie reglamentować ją prohibicyjnie. Stwierdzam, że żaden z pisarzy biorących udział w dyskusji ani jednym słowem nie poparł krytycznego stanowiska Wuj'a w przedmiocie kolejek zakopiańskich i nie oświadczył się za ekskluzywnością Tatr i Zakopanego. Słuszną odprawę dał Dr Tadeusz Prus Wiśniowski sam wybitny znawca turystyki i krajoznawstwa oraz znany pisarz z tej dziedziny, tym którzy pod fałszywymi pretekstami obrony dostojności majestatu Tatr — zagrożonego przez zbyt liczny napływ ich miłośników — pragną odciąć Tatry od współczesnego życia. Wskazuje on, że coraz liczniejsze wycieczki przybywające do starożytnego Krakowa i podążające na omszały powagą wieków Wawel, w niczym nie umniejszają dostojeństwa tych bezcennych skarbów naszej przeszłości i sanktuarium naszej narodowej chwały.

Na tle tych wypowiedzi dalsza polemika z Wuj'em traci swe racje. Wyrażają bowiem one zgodnie opinię dążącą nie w kierunku utrudniania ale ułatwiania i planowego organizowania turystyki.

Ten jeden wniosek z dyskusji należy moim zdaniem zapamiętać: 650.000 ludzi napawało się czarem Tatr z Kasprowego i Gubałówki. Daje to stosunek roczny przeszło dwa miliony osób, którym udostępniono piękno, dotąd dostępne tylko nielicznym wybranym.

Franciszek Witowicki

Tadeusz PRUS WIŚNIOWSKI

Poznajmy Tatry

ZAGADNIENIE uprzystępnienia Tatr, a w szczególności turystyki w Tatrach rzeszom naszego społeczeństwa jest problemem, który wystąpił wyraźnie w dobie dzisiejszej, kiedy zasadniczym postulatem jest turystyka społeczna, jest jej umasowienie, upowszechnienie.

I dlatego też turystyka masowa, ściślej mówiąc masowy ruch wycieczkowy, objąć musi nie tylko jak najliczniejsze grupy ludzi różnych zawodów, wieku, płci, lecz ponadto zasięg tego ruchu nie powinien być ograniczony, względnie nie dostosowany do pewnego tylko schematu, włożony w pewne tylko sfery zasięgu, zainteresowań.

Autor artykułu, zamieszczonego w Nr 42. (308), tygodnika „Dziś i Jutro", z dn. 21.X br. przyjmuje za podstawę dyskusji nad zagadnieniem słusznym, mianowicie planowaniem w turystyce — 4 zasadnicze postulaty. Pierwszy postulat, to upowszechnienie w społeczeństwie idei turystyki i krajoznawstwa.

W całym swym jednak artykule, w którym porusza słuszne zresztą, rzeczowe argumenty, zapomina przecież o zagadnieniu drugim, równie ważnym a ściśle z turystyką związanym, to jest zagadnieniu krajoznawstwa. Jest ono ważne nie tylko przy organizowaniu i prowadzeniu każdej wycieczki masowej, ale właśnie przy turystyce górskiej oraz wysokogórskiej, przy której prócz uwagi na pewną zaprawę turystyczną, sportową, którą niewątpliwie musi posiadać każdy uczestnik tego typu wycieczki, zamiłowania do wspinaczek wysokogórskich — winno się kłaść nacisk na elementy poznawcze przy zwiedzaniu pewnego terenu geograficznego, w tym wypadku regionu górskiego, tatrzańskiego i to nie tylko pod względem geograficznym, geologicznym, krajobrazowym, przyrodniczym, lecz również pod względem antropogeograficznym, etnicznym, gospodarczym, kulturalnym — by mógł sobie uczestnik wycieczki, wędrówki, czy obozu, wyrobić o danym środowiskiem i regionie odpowiednie wyobrażenie.

Jednym słowem chodzi tu o element krajoznawstwa, który w wycieczce musi być realizowany i należycie podkreślany.

Nie wolno nam zapominać, że sama turystyka, to tylko jedna część wycieczki, drugą jest krajoznawstwo. Przez krajoznawstwo, poznawanie, wiedzie droga do upowszechnienia kultury Polski Współczesnej.

Dlatego też postulat upowszechnienia w naszym wypadku — poznawania Tatr i regionu tatrzańskiego musi być należycie opracowany i realizowany oraz również objęty zaplanowaniem. Tatry, te przepiękne góry nasze, choć „obszarem małe", jak pisze autor — musimy wszyscy poznać, a od poznania nie można nikogo wyłączać, żaden obywatel bezwzględnie nie może być odsuwany, lub kierowany na inne tereny, jeśli pragnie poznać Tatry.

I tu dochodzimy do sedna sprawy. Poznać Tatry ma prawo i obowiązek każdy. Poznać Tatry jednak nie koniecznie przez wysokogórską wspinaczkę, wędrówkę, obóz tatrzański, w których to formach turystyki brać mogą udział tylko zaawansowani, lecz również inną drogą, a mianowicie przez urządzanie masowych, popularnych wycieczek (nie bójmy się wcale tego ruchu masowego), które zresztą i PTTK i pewne zakłady pracy urządzały i nadal urządzać będą.

Wycieczki takie odpowiednio przygotowane i umiejętnie pokierowane pokażą uczestnikom typowe krajobrazy tatrzańskie, przyrodę, życie mieszkańców gór, ich zajęcia, mieszkania, kulturę i sztukę góralską, ludową, jednym słowem to wszystko, co pod pojęcie regionu tatrzańskiego podciągnąć możemy.

Sądzę, że moment poznawczy powinien odgrywać, jeśli nie zasadniczą, to w każdym razie doniosłą rolę w naszych wycieczkach masowych, organizowanych dla ludzi pracy, natomiast do turystyki, a zwłaszcza ściślej mówiąc w terenie tatrzańskim do taternictwa, nie należy zachęcać tych, którzy, jak słusznie zauważa autor, „nie czują pociągu, ani ochoty do górskich wycieczek".

I tutaj wyłania się problem regulacji wycieczek w Tatry. Zaawansowani niewątpliwie pójdą w góry i choć będzie ich duża liczba, to nie trzeba się smucić, że Tatry dla nich są za małe, lecz raczej należy im udostępnić zwiedzanie gór i wędrówki górskie, jak to już zresztą czyni Oddział PTTK w Zakopanem — natomiast inni wycieczkowicze skorzystają niewątpliwie z udogodnień takich, jak kolejka linowa na Kasprowy Wierch, autobus do Morskiego Oka, pobyt w schronisku górskim itp., więc nawet fizycznie słabi i niewytrenowani turystycznie mogą pewne partie Tatr zwiedzać i poznać.

Zasadniczą sprawą przy organizowaniu wycieczki jest nie tylko dokładne jej przygotowanie, lecz i przeprowadzenie, a to w dużym stopniu zależy od przewodnika, na którym ciążą, zwłaszcza przy prowadzeniu wycieczki górskiej, poważne zadania i obowiązki.

I jeszcze jedno. Pisze tak autor artykułu: „Uczynić z Tatr coś nieco lepszego, jak lasek bielański, to zniszczyć samemu najpiękniejszy i jedyny w swoim rodzaju klejnot w krajobrazie polskim, ba nawet więcej, to zubożyć kulturę polską.." Nie wydaje mi się to uprzystępnienie Tatr aż takim niebezpieczeństwem.

Czy „ubyło" co Wawelowi, pięknemu zamkowi królów Polski i sanktuarium Polski, mimo, że zwiedzają go tłumy i rzesze? Sądzę, że nie. A zatem bądźmy o Tatry spokojni.

Tadeusz Prus Wiśniowski

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA GDAŃSK
CIV 9013

Włodzimierz WNUK

Zbrojownia ożyła

W NIEDZIELĘ 4 listopada było w Gdańsku pięknie i chłodno. Słońce, ozłacające hełmy obu ratuszów i wieżyce kościołów, niewiele łagodziło dojmujący chłód jesiennego południa. Czerwone tramwaje sunęły Wałami Jagiellońskimi prawie puste, na Targu Drzewnym i Węglowym słychać było każdy krok przechodnia. Nawet przy Bramie Wyżynnej nikt się nie niecierpliwił, nikt nie czekał. Zwyczajna niedzielna pora nad Motławą.

A jednak stało się o tej porze w Gdańsku coś niezwykłego. Bo oto koło godz. 12 w południe zaczęły pojawiać się na Targu Węglowym grupki odświętnie ubranych ludzi zmierzające ku budynkowi, który do niedawna straszył śródmieście wielką i ponurą ruiną. Co więcej, przed budynkiem tym stanęły rzędem długie, lśniące auta... Pierwszy to raz od chwili zagłady w 1945 r. Zbrojownia gdańska przygarnęła do swego ogromnego wnętrza coś więcej niż stuk młotów, huk świdrów i trzask desek rozlegający się tu nieprzerwanie od paru lat. Po raz pierwszy od czasu wojny rozwarła ona wrota dla publiczności oddając zarazem swe sale w służbę kultury: 4 listopada otwarta w nich została wystawa plastyków.

Gdańsk — Zbrojownia (stan przed odbudową).
Fot J. Bulhak.

Zbrojownia, wznoszona w latach 1602 — 1605 przez znakomitego architekta flamandzkiego, Antoniego van Obbergen, była najświetniejszym pomnikiem renesansu flamandzko-holenderskiego w Gdańsku stanowiąc prawdziwą ozdobę miasta i chlubę jego architektury. Majestatyczna budowla, wspaniałym trójszczytowym frontonem zwrócona ku ul. Piwnej, a nieco skromniejszą czteroszczytową fasadą ku Targowi Węglowemu, tym większą miała dla nas wartość zabytkową, że budował ją van Obbergen przy współpracy mistrza murarskiego, Jana Strakowskiego. Obok Dworu Artusa był to drugi okazały dwór sztuki gdańskiej, tylko że u Artusa dekorowała ona przede wszystkim wnętrze gmachu, podczas gdy w Zbrojowni wieńczyła sobą frontony, słynne z uroczych kształtów i bogatych ozdób.

Do początków XIX w. budowla ta pełniła istotnie rolę zbrojowni, później, aż po pierwszą wojnę światową, była magazynem wojskowym. W latach międzywojennych mieściły się w jej górnej kondygnacji pracownie teatralne, a z przestronnego parteru przedzielonego 16 filarami uczyniono pasaż łączący ul. Piwną z Targiem Węglowym. Stały w nim sklepy z kosztowną galanterią oraz antykwariaty. Działania wojenne w r. 1945 zamieniły wnętrze Zbrojowni w kompletną ruinę oszczędzając szczęśliwie fasady, których ażurowe ściany sterczały samotnie ponad zwałami gruzów.

Kiedy po wojnie przystąpiono do ratowania zabytków gdańskich, nie zapomniano o pałacu van Obbergena. Zabezpieczono przede wszystkim jego fasady, po czym — po odgruzowaniu wnętrza — zabrano się do rekonstrukcji monumentalnej budowli. Przez dłuższy czas śledzili Gdańszczanie roboty konserwatorskie skryte za parawanem historycznych murów, aż wreszcie doczekali się: w roku bieżącym Zbrojownia została odbudowana! Narazie w stanie surowym, ale to, co odbudowano, przesądza już o losie zabytku, który wymaga obecnie tylko prac wykończających, by wrócić do swej dawnej świetności. Na szesnastu potężnych filarach (przewiezionych z Dolnego Śląska) wsparło się znowu krzyżowe sklepienie dźwigające na sobie dziesiątki sal i pokojów. Już nic nie zagraża pysznym, ciemnoczerwonym ścianom ceglanym, ubranym w jasne pasy kamienia i zbrojnym w ogniste granaty, strzeliste obeliski i groźne posągi wojowników z boginią wojny, Pallas Ateną, na czele. Strzec one będą dalej czaru Odrodzenia — tylko, że w nowym odrodzonym mieście.

Nie wszystko jednak zostało w Zbrojowni wiernie zrekonstruowane. Jak przy odbudowie innych zabytków gdańskich i w ogóle całego zespołu staromiejskiego, tak i przy dźwiganiu z ruin tego gmachu trzymano się zasady: odtworzyć piękno architektoniczne miasta uwalniając je jednocześnie od tradycyjnych nędz i przeżytków. Nad Zbrojownią ciągnęło się dawniej rozległe, ciemne, bezużyteczne poddasze, po którym tylko szczury biegały. Obecnie, dzięki zastąpieniu systemu krokwiowego dachu konstrukcją żelazo-betonową oraz dzięki zastosowaniu górno-bocznych okien, udało się stworzyć z poddasza idealne pomieszczenie dla wszelkiego rodzaju wystaw. W ten sposób Gdańsk, pozbawiony dotychczas tej możliwości, uzyskał reprezentacyjny lokal wystawowy koronujący sobą najpiękniejszą budowlę renesansowa w tym mieście.

I właśnie w dniu 4 listopada br. lokal ten został oddany swemu przeznaczeniu: Wojewódzki Komitet Obchodu Miesiąca Pogłębienia Przyjaźni Polsko-Radzieckiej otworzył w nim wielką wystawę artystyczną. W szeregu obszernych, odgornie oświetlonych sal, wystawili swoje prace artyści z Okręgu Gdańskiego Związku Polskich Artystów Plastyków, słuchacze Wyższej Szkoły Sztuk Pięknych w Sopocie, plastycy amatorzy, artyści fotograficy, przy czym osobny dział ma również Centrala Przemysłu Ludowego i Artystycznego. Ponury strych Zbrojowni zamienił się w przybytek sztuki, o jakim dawno marzyli Gdańszczanie.

Otwarcia wystawy dokonał przewodniczący Wojewódzkiej Rady Narodowej, Mieczysław Wągrowski, który przed przecięciem wstęgi wygłosił krótkie przemówienie o doniosłości tego wydarzenia dla gdańskiego życia kulturalnego.. Przewodniczący WRN wyraził przy okazji uznanie i podziękowanie robotnikom, którzy ofiarnym swoim trudem wskrzesili klejnot architektury gdańskiej. Pod świetlanym dachem Zbrojowni padły nazwiska przodowników pracy: Jabłoński, Wałdowski, Granuszewski, Czesiga... Słuchali ich nie tylko przedstawiciele kultury i sztuki, słuchali ich również sami robotnicy zatrudnieni przy odbudowie Zbrojowni. Robotnicy, których dawniej nikt na otwarcie wystaw nie zapraszał.

Wśród różnorodnych działów wystawy — a jest w niej reprezentowana obok malarstwa i rzeźba, fotografika, ceramika, hafciarstwo, tkactwo artystyczne — największe niewątpliwie zainteresowanie budzi twórczość plastyków amatorów. Wybija się ona na pierwszy plan nie tylko ilością eksponatów, ale i podziwu godnym poziomem szeregu prac amatorskich wystawionych przez Państwowe Ogniska Kultury Plastycznej w Gdańsku, Gdyni. Malborku, Tczewie i Pucku. Dopiero tam, w Zbrojowni, uświadamia sobie człowiek w pełni, jak dużą rolę w rozwoju amatorskiego ruchu plastycznego odegrały państwowe ogniska plastyczne rozsiane po całym kraju — i jakie talenty artystyczne, dotychczas zapoznane, krzepną w płomieniu tych ognisk.

Wdzięczne zadanie miał kierownik gdańskiego ogniska, art. malarz Rogiński, który w dniu otwarcia wystawy oprowadzał zebranych po salach twórczości amatorskiej. Niewiele musiał im tłumaczyć, bo tłumaczyły się dostatecznie same eksponaty. I niejeden z uczestników uroczystości odwiedzi jeszcze Zbrojownię, by stanąć przed „Orką", kompozycją pamięciową (węglem) kaprala M.O., K. Kowalewskiego z Ogniska Malborskiego czy przed studium z natury ślusarza PKP z Malborka, St. Cicherskiego pt. „W pracowni". Tych wszystkich, którzy przewiną się w przyszłości przez wystawę, z pewnością zafrapują obrazki portowe pracownika chłodni portowej w Gdyni, S. Katzera i trymera gdańskiego, K. Tarnowskiego. Podobnie zresztą jak i eksponaty 17-letniej Marii Miszczak z Pucka i wielu innych, jeszcze młodszych adeptów sztuki plastycznej. Dodać trzeba, że najzdolniejsi spośród amatorów zostali przyjęci na członków Związku Polskich Artystów Plastyków.

Zbrojownia gdańska ożyła! Narazie w swojej szczytowej partii, ale niedługo ożyją i pozostałe części gmachu. Niewiadomo jeszcze, kto się wprowadzi w obręb zabytkowych murów, komu przypadnie renesansowy pałac — zadecyduje o tym w najbliższym czasie prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej. Jedno wydaje się pewne: mistrzowskie dzieło architekta flamandzkiego i murarza polskiego przeobrazi się z dawnego magazynu broni w magazyn sztuki i kultury polskiego Gdańska.

Włodzimierz Wnuk

O wszystkim po trochu

ZE ŚWIATA NAJMŁODSZYCH

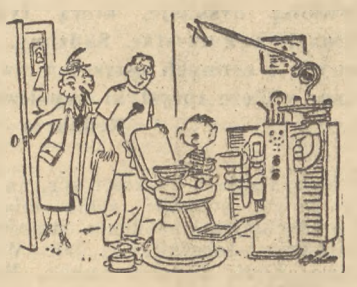

— Powiedziałam mu, że jest pan fryzjerem. Resztę pozostawiam Panu

STRASZNE PYTANIE

6-letni Jacek wraca ze szkoły.

— Mamusiu, skąd ja pochodzę?

Jest! prędzej czy później musiało przyjść to straszne pytanie! Mamusia przygotowana już obszerną lekturą na ten temat, stara się jak najnaturalniej opowiedzieć całą historię, a skończywszy czeka z zapartym tchem na reakcję dziecka.

— Ależ ja wcale nie o to pytałem — mówi Jacek — bo ten co siedzi koło mnie pochodzi z Radomia.

— Podaj dalej! Po skończonej Mszy św. będziemy bili się z chórem św. Marcina.

DZIECKO XX WIEKU

Czteroletni Kazio przyjmuje telefon do ojca.

— Czy mam coś powtórzyć?

— Tak, proszę mu powiedzieć, że dzwonił pan Trzciński.

Kazio bierze notes i ołówek.

— Trzciński, jak się to pisze?

— T-r-z-c-i-ń-s-k-i.

Po długim milczeniu słychać cichy zmartwiony głosik:

— Bardzo pana przepraszam, jak się pisze T?

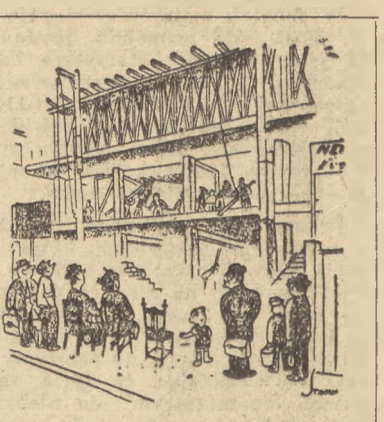

— Jest jeszcze jedno miejsce wolne za 10 zł.

ODWAŻNY

— Tomek wraca ze szkoły z podbitym okiem.

— Tomku, znowu się z kimś biłeś — gniewa się matka.

— Ależ nie, mamusiu, ja tylko przeszkadzałem dużemu chłopcu, który chciał pobić małego.

— To bardzo odważnie z twojej strony synku, a kto był ten mały chłopiec?

— To ja właśnie byłem, mamusiu!

SPOTKANIE

Trzyletnia Lili bawi się grzecznie w parku pod opieką mamusi. Nagle podbiega do starszego pana z długą białą brodą i mówi:

— Jak się cieszę, że Pana spotkałam!

— Ja również, moja maleńka, odpowiada trochę zdziwiony staruszek.

— Jest Pan dzisiaj bardzo elegancki.

— Jesteś bardzo uprzejma kochanie — mówi starszy pan i oddala się szybko.

Lili wraca do matki i ciężko wzdycha:

— Nie masz pojęcia mamusiu jakie to było denerwujące takie spotkanie ze św. Mikołajem po cywilnemu.

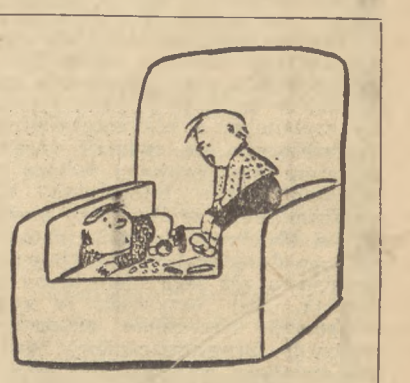

— Pół jabłka, dwa grzebienie, cztery igły, druty do robienia pończoch, 50 gr. Jak na początek nieźle. Szukajmy dalej.

W HOLLYWOOD

Córeczce wielkiego producenta filmowego kazano napisać w szkole opowiadanie o jakiejś biednej rodzinie. Tak rozpoczęła ona swoje wypracowanie: „Była sobie pewna biedna rodzina. Matka była biedna. Ojciec był biedny. Dzieci były biedne. Lokaj był biedny. Szofer był biedny. Kucharz był biedny. Ogrodnik był biedny. Wszyscy byli biedni".

— To moja mała Dorotka, panie doktorze. Połknęła wczoraj magnes.

NA PRZYJĘCIU

Mały chłopiec któremu kazano przywitać się z gośćmi:

— Co słychać? Mój Boże, jak ja urosłem! Jestem coraz bardziej podobny do mego ojca! A teraz czy mogę już iść się bawić?

— Czy ona naprawdę nigdy nie widziała białej myszki.

Redaktor Naczelny: Bolesław Piasecki Komitet Redakcyjny: Jerzy Hagmajer, Dominik Horodyński, Wojciech Kętrzyński, Janina Kolendo, Mieczysław Kurzyna, Zygmunt Lichniak Konstanty Łubieński Andrzej Micewski, Zygmunt Przetakiewicz, Ryszard Reiff Jan Szwykowski.

Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43 I p., tel 8.80.71, 8.80.26. Konto PKO — Nr 1-727.
Sekretarz redakcji przyjmuje codziennie prócz wtorków i czwartków godz 11 — 13

Wydawca: Kolegium Redakcyjne Prenumerata miesięczna 1.80 złotych Kwartalnie 5.40 złotych
Drukarnia Akcydensowa Warszawa, Tamka 8 Zam 3256. 2-B-45499.

INSTYTUT MORSKI GDAŃSK
PO 1668/IV